



E. T. A. HOFFMANN

Wybór narzeczonej


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI FANTASTYCZNE

Wybór narzeczonej

HISTORIA, W KTÓREJ ZACHODZĄ ROZMAITE NIEPRAWDOPODOBNE PRZYGODY

TŁUM. ANTONI LANGE

Spis treści

Rozdział I	4
Rozdział II	9
Rozdział III	14
Rozdział IV	17
Rozdział V	22
Rozdział VI	27

ROZDZIAŁ I

W jesienną noc, w czas zrównania dnia z nocą, sekretarz kancelarii państwowej Tussman wyszedł z kawiarni, w której zazwyczaj przesiadywał co wieczór kilka godzin i powracał do domu. Sekretarz ten, pod wszystkimi względami ścisły i punktualny, przywykł zdejmować surdut¹ i buty dokładnie w chwili, kiedy zegary na kościołach Świętego Mikołaja i Przenajświętszej Panny były jedenastą, tak, że przy ostatnim uderzeniu dzwonu kładł na głowę szlafmycę². By tego dnia nie był spóźniony, gdyż dzwony już zaczynały swe kołysanie, przyspieszył kroku tak, że zdawało się biegł klusem i gdy właśnie z ulicy Królewskiej wchodził na Szpandawską, usłyszał w pobliżu szczególny hałas, który go zatrzymał na miejscu. Pod wieżą starego ratusza, przy blasku latarni ujrzał długą postać, całą w ciemny płaszcz zasnutą. Nieznajomy walił do drzwi Warnatza, handlującego żelazem, cofał się, wzdychał i podnosił wzrok ku zrujnowanym oknom wieżycy.

— Drogi panie — rzekł sekretarz tajny do tego człowieka — pan się myli. Ani jedna dusza ludzka nie mieszka na szczycie tej wieży i mógłbym nawet powiedzieć, żadna istota żywa, z wyjątkiem szczurów i myszy oraz pary sów. Jeżeli pan ma jakiś interes do pana Warnatza, to musi pan powrócić jutro rano.

— Czcigodny panie Tussman...

— Sekretarz prywatny kancelarii państwowej od wielu lat — pośpieszył dodać Tussman, choć bardzo zdziwiony, że obcy zna jego nazwisko. Ten nie zwracał zupełnie uwagi na te słowa i mówił dalej:

— Czcigodny panie Tussman, myli się pan co do powodów mojej obecności w tym miejscu, nie mam żadnego interesu do pana Warnatza. Ponieważ jest to dziś równonocny moment jesieni, chcę widzieć narzeczoną. Już ona słyszała bicie mego serca, westchnienia mej miłości i wkrótce się w oknie pokaże.

Ton głosu, jakim nieznajomy wypowiedział te słowa, był tak uroczy i tak dziwny, że sekretarz kancelarii poczuł zimny pot, oblewający naraz całe jego ciało. Pierwsze uderzenie godziny jedenastej zabrzmiało na szczycie wieży Panny Marii; w tej samej chwili usłyszano pewien szmer na wieży ratuszowej i w oknie ukazała się postać kobieca. Gdy blask latarni oświetlił tę nową twarz, Tussman żalonym głosem szepnął:

— Sprawiedliwy Boże! Potęgi niebieskie, co znaczy ta tajemnica?

Postać znikła wraz z ostatnim uderzeniem zegara — to znaczy w tej chwili, gdy Tussman miał zwyczaj wciągając na uszy szlafmycę.

To zdumiewające zjawisko, rzekłbyś, odebrało sekretarzowi przytomność. Jęczał, wzdychał, patrzył w okno i mówił sam do siebie po cichu:

— Tussmanie, Tussmanie, sekretarzu prywatny kancelarii, miej siłę ducha, nie pozwól się obłąkać własnemu sercu, nie pozwól diabłowi, by cię na manowce sprowadził.

— Zdajesz mi się bardzo wzruszony tym, co widziałeś, mój dobry panie Tussman! — rzekł nieznajomy. — Ja chciałem tylko widzieć narzeczoną; a co do ciebie, to zdaje się, doznałeś jakichś szczególnych wrażeń.

— Proszę cię, proszę — szeptał Tussman — nie odmawiaj mi moich tytułików; jestem sekretarzem tajnym kancelarii państwowej, a o godzinie, jaką mamy teraz, sekretarz jest bardzo zmieszany i przygnębiony. Przebacz mi, dostojny panie, jeżeli mu nie nadaję tytułu, jaki mu się należy; nie mogę tego uczynić wobec mej całkowitej nieświadomości wszystkiego, co dotyczy jego szanownej osoby. Ale nazywać go będę radcą tajnym, gdyż w naszym kochanym Berlinie tylu jest ludzi, co noszą ten tytuł, że używając go na chybił-trafił, rzadko kiedy się omylisz. Powiedz mi zatem, panie radco tajny, jaką to narzeczoną chciałeś widzieć o tak spóźnionej godzinie?

— Jest pan — rzekł, podnosząc głos, nieznajomy — jest pan szczególny człowiek ze swoją manią tytułów i rang. Jeżeli dla znajomości różnych spraw tajemnych i dla udzielania dobrych rad można się tytułować tajnym radcą, to niewątpliwie jestem tajnym radcą. Dziwię się, że człowiek, co jak pan czytał tyle ksiąg i rękopisów, nie wie, że gdy wtajemniczony... rozumie pan, wtajemniczony przychodzi w czas zrównania dnia z nocą,

¹surdut — część męskiej garderoby, przedłużana marynarka. [przypis edytorski]

²szlafmyca — nocne nakrycie głowy. [przypis edytorski]

by o godzinie 11 uderzyć u stóp tej wieży, zobaczy w tym oknie dziewczynę, która aż do chwili równonocnej wiosennej będzie najszczęśliwszą narzeczoną w Berlinie.

— Panie radco tajny! — zawołał Tussman w uniesieniu naglej radości — mój najlaskawszy radco tajny, czyżby to była prawda?

— Bez wątpienia — odrzekł nieznajomy. — Ale cóż my tak długo robimy tu na ulicy? Minęła już chwila, w której się kładziesz do łóżka. Idźmy do nowej winiarni na placu Aleksandra. I jedynie po to, abys się mógł więcej dowiedzieć o narzeczonej i abys na nowo odzyskał spokój ducha, który utraciłeś, nie wiem jak i dlaczego.

Sekretarz prywatny był człowiekiem, który prowadził nadzwyczaj regularne życie. Jedyną jego rozrywką było, że co wieczór parę godzin przepędzał w kawiarni i pijąc szklankę piwa, czytał gazety i broszury polityczne. Prawie nie pił wina: w niedzielę tylko, po kazaniu, wchodził do winiarni i kazał sobie podawać szklankę Malagi i biskopt. Myśl, że ma przepędzić noc przy stole, przepelniała go dreszczem strachu; i niepodobna³ zrozumieć, jakim sposobem dał się pociągnąć nieznajomemu i bez najmniejszego oporu poszedł z nim razem, aż się znalazł na placu Aleksandra.

W sali, do której weszli, był już tylko jeden człowiek siedzący przy stole, z wielką szklanką wina reńskiego. Głębokie zmarszczki na jego twarzy świadczyły o podeszłym wieku. Spojrzenie miał bystre, przenikliwe, a z białej brody poznać było można Żyda, który ściśle zachował obyczaje przodków. Odziany był starą modą, jaka istniała między 1720 a 1730 r. Ale nieznajomy, którego spotkał Tussman, wyglądał jeszcze osobliwiej.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy, lecz mocny, a zdawał się mieć około pięćdziesięciu lat. Twarz jego może niegdyś była ładna; wielkie oczy miały jeszcze niemało blasku młodzieńczego pod czarnymi brwiami. Czoło otwarte, nos orli, usta delikatne i okrągły podbródek, wszystko to nie bardzo go wyróżniało wśród tysiąca innych. Ale gdy jego kapelusz i spodnie były wykrajane według ostatniej mody, płaszcz i kołnierz — datowały z końca XVI w., a jego spojrzenie lśniące jak błyskawica w głębokiej nocy, przygłuszony dźwięk głosu i cała jego osoba budziła swą obecnością jakieś poczucie szczególne i niepokojące. Nieznajomy powitał jak dobrego przyjaciela starca siedzącego przy stole.

— A więc jesteś na koniec — zawołał. — Zawsze zdrów?

— Jak widzisz — odparł starzec tonem wielkości — zdrów i cały; gdy trzeba, czynny i wesoły.

— To kwestia, to kwestia — rzekł nieznajomy z uśmiechem i zażądał od posługacza butelki starego wina francuskiego.

— Mój szanowny i dostojny radco tajny — rzekł Tussman. Ale cudzoziemiec szybko mu przerwał:

— Dajmy spokój — rzekł — z tymi tytułami, drogi panie Tussman! Nie jestem ani radcą tajnym, ani sekretarzem tajnym. Jestem po prostu artystą, który obrabia szlachetne metale, drogie kamienie i nazywam się Leonard.

— A zatem jest to złotnik, jubiler — szeptał do siebie Tussman. Rozważył też zaraz, że na pierwszy widok cudzoziemca powinien był zrozumieć, że ten człowiek nie może być radcą tajnym, gdyż jego płaszcz i beret nie odpowiadają zupełnie osobie utytułowanej.

Leonard i Tussman siedli w pobliżu starca, który ich powitał wykrzywionym uśmiechem.

Gdy Tussman, pod naciskiem Leonarda, wypróżnił kilka szklanek wina, jego blade policzki zarumieniły się i na usta powrócił uśmiech; z zadowoleniem przyglądał się nieznajomemu, jakby najśłodsze obrazy migały mu przed okiem.

— Teraz — rzekł Leonard — powiedz mi, drogi panie Tussman, dlaczego tak osobliwie się zachowywałeś, gdy narzeczonej ukazała się w oknie wieżycy i jaka myśl zajmuje cię teraz? Jesteśmy, czy wierzysz czy nie, starzy znajomi, a wobec tego zacnego człowieka nie ma potrzeby się krępować.

— O Boże! — odparł sekretarz prywatny kancelarii — o Boże!... Szanowny profesorze, pozwól, że będę cię tytułował w ten sposób, bo, że pan jest, jak sądzę, wybornym artystą, miałbyś prawo być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych. A zatem, czcigodny

³niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

profesorze, jakże zamilczęć mam przed tobą to, czym serce me jest przepelnione? Jestem, jak to mówią, konkurentem i w równonocny czas wiosenny zamierzam do swego domu wprowadzić słodką narzeczoną. Jakże nie mam być wzruszony, gdy ty mi pokazałeś szczęśliwą narzeczoną?

— Jak to? — zawołał starzec zgrzytliwym głosem. Jak to? Pan się chce żenić? Ależ pan jest na to i za stary i za brzydki.

Tussman był tak zdumiony niewiarogodną brutalnością starego Żyda, że nie mógł słowa powiedzieć.

— Nie gniewaj się na tego człowieka — rzekł Leonard — że w ten sposób mówi do ciebie; nie ma on tak złych zamiarów, jakby można przypuszczać. Ale muszę ci szczerze wyznać, zdaje mi się, że trochę zbyt późno postanowiłeś się ożenić; masz zapewne około pięćdziesięciu lat.

— Dziewiątego października, w dzień Świętego Dionizego⁴ — odparł nieco żywo Tussman — kończę rok czterdziesty ósmy.

— Niechaj będzie, jak pan chce — mówił dalej Leonard — wiek nie jest przeszkodą; aż dotąd prowadziłeś proste i spokojne życie człowieka bezzennego, nie znasz rodzaju kobiecego i nie będziesz wiedział, jak załatwić tę sprawę.

— Jak załatwić sprawę? — rzekł Tussman. — Ach, drogi profesorze, traktujesz mnie, jako człowieka szczególnie lekkomyślnego i głupca, jeżeli sądzisz, że mógłbym działać na ślepo, bez rady i bez rozwagi. Obmyślałem bardzo poważnie każdy krok, jaki czynię i gdy czuję się trafiony grotem tego przewrotnego boga, którego starożytni nazywali Kupidynem⁵, czyż nie jest moim obowiązkiem wyżyć wszystkie siły mego umysłu, by się dostosować należycie do swego nowego położenia? Ten, co ma zdawać trudny egzamin, czyż nie bada starannie wszystkich kwestii, o jakie mógłby być zapytywany? A więc, drogi profesorze, małżeństwo moje jest to egzamin, do którego się przygotowuję i który myślę zdać ze stopniem celującym. Oto spójrz, mała książeczka, którą ciągle noszę ze sobą i którą studiuję co chwila, odkąd powziąłem postanowienie, by się kochać i by się ożenić. Patrz na nią, a przekonasz się, że sprawę badam do gruntu i że nie jestem bez doświadczenia, chociaż płeć żeńska, wyznaję, była mi dotychczas całkowicie obca.

To rzekłszy, sekretarz prywatny kancelarii otworzył małą książeczkę oprawną w pergamin i odczytał jej tytuł, który brzmiał, jak następuje:

„Krótki wykład mądrości politycznej, który zawiera sztukę prowadzenia siebie i prowadzenia innych w towarzystwie ludzkim. Tłumaczył z łaciny mistrz Tomasius, ku największemu pożytkowi tych, którzy chcą osiągnąć mądrość. Frankfurt i Lipsk, u spadkobierców Jana Grossa, 1710”.

— Uważaj — rzekł Tussman z nader miłym uśmiechem — jak ten szanowny autor mówi, w R. VII, o małżeństwie i o przezorności ojca rodziny:

„§ 6. Nie należy się z tym zanadto śpieszyć. Ten, który się żeni w wieku dojrzałym, jest w tej sprawie o tyle zręczniejszy, o ile mądrzejszy. Małżeństwa zbyt prędko zawarte — rodzą podstęp i hańbę — i niszczą naraz ciało i duszę... Co do wyboru osoby, którą zamierzasz kochać i poślubić, oto co mówi ten doskonały Tomasius.

„§ 9. Miara średnia jest zawsze rzeczą najpewniejszą. Nie bierz kobiety ani zbyt pięknej, ani zbyt brzydkiej; ani zbyt bogatej, ani zbyt ubogiej; ani postawionej zbyt wysoko, ani też zbyt nisko: ale stanu równego naszemu, a co do innych cech — miara średnia jest najlepsza”.

— Podług rad Tomasiusa — mówił dalej Tussman — nie ograniczyłem się wcale do jednej rozmowy z miłą osobą, którą sobie wybrałem; rozmawiałem wielokrotnie, gdyż, jak to czytamy w § 17 tej książeczki, można przez jakiś czas ukrywać swe wady i udawać cnoty, ale po dłuższym okresie prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa.

— Aby takie mieć stosunki — rzekł Leonard — albo, jak to pan mówi, takie rozmowy z kobietami, sądzę, że dla uniknięcia pomyłki trzeba już mieć dość znaczne doświadczenie.

⁴Święty Dionizy — święty katolicki, męczennik, patron Francji, wspominany 9 października. [przypis edytorski]

⁵Kupidyn — w mit. rzym. bóg miłości. [przypis edytorski]

— Tu — rzekł Tussman — wielki Tomasius raz jeszcze przychodzi mi z pomocą, gdyż naucza, jak należy z niewiastami prowadzić rozmowę poważną i jak w nią wtrącać miłe żarciki: Trzeba — mówi ten uczony autor w rozdziale V swego dzieła — tak używać żartu, jak kucharz soli, lub by powiedzieć lepiej, jak się używa broni nie dla ataku, lecz dla obrony.

— Widzę — rzekł złotnik — że nie można cię zwalczyć: jesteś przygotowany na wszelki przypadek i założyłbym się, że dzięki swemu postępowaniu już zdobyłeś sobie miłość wybranej damy.

— Staram się — rzekł Tussman — zdobyć ją sobie drogą uprzejmości i szacunku, gdyż jest to najnaturalniejsza oznaka miłości. Lecz nie posuwam szacunku zbyt daleko, przekonany, jak to naucza Tomasius, że kobieta nie jest ani szatanem, ani też aniołem, ale prostym stworzeniem ludzkim, kruchszym od nas co do ciała i ducha.

— Bodajes miał zły rok! — krzyknął stary Żyd rozgniewany. — Cóż ty tu pleciesz bez końca i bez sensu i burzysz mi spokój, którego tu oczekiwałem, dokonawszy swego *opus magnum*⁶.

— Milcz, starcze! — zawołał złotnik podniesiony głosem. — Bądź kontent⁷, że ci tu pozwalają siedzieć, bo przy swojej brutalności jesteś niemiłym gościem, którego by należało wygnąć za drzwi. Niech pan nie zwraca uwagi na tego człowieka, drogi panie Tussman. Jesteś pan zwolennikiem dawnych czasów, lubisz Tomasiusa. Co do mnie — idę dalej jeszcze: kocham tylko czas, z którym się wiąże część mego ubioru. Tak, godny sekretarzu, ów czas wart był więcej niż dzisiejszy i z tej to epoki datują wszystkie czarnoksiężstwa, które widziałeś dziś na starym ratuszu.

— Jakże to, szanowny profesorze? — zapytał sekretarz.

— Niegdyś — mówił złotnik — bywały na ratuszu często gody weselne, a wyglądały one inaczej, niż dzisiejsze. Wtedy szczęśliwa narzeczona promieniała w oknie i muszę wyznać, że nasz kochany Berlin był w owym czasie bardziej ożywiony, bardziej uśmiechnięty niż dziś, gdy wszystko jest robione według jednego wzoru, gdy w nudzie nawet szukają jeszcze rozkoszy nudzenia się. W owych czasach zabawy publiczne były całkiem inne niż dzisiaj. Przypomnę tylko uroczystość odprawioną w r. 1581, kiedy elektor August Saski⁸ przybył z Kolonii ze swą małżonką, synem Chrystianem i wspaniałym orszakiem szlachty. Mieszczanie Berlina, Kolonii i Szpandawy⁹ ustawili się w dwa szeregi od bramy Köpenickiej aż do pałacu. Nazajutrz był huczny turniej, na którym widziano elektora saskiego, hrabiego de Barby i wielu innych, w hełmach wysokich, z chorągwiemi ozdobnymi lwią głową, a na nogach mieli strój barwy ciała, by naśladować starożytnych wojowników pogańskich. Śpiewacy i grajkowie na różnych instrumentach, ukryci byli w budynku na wzór arki Noego, pięknie wyłożonym, a na tej arce małe dziecko w materii cielistej, ze skrzydełkami, z łukiem i kołczanem, z przepaską na oczach, jak malują Kupidyna. Dwoje innych dzieci, pokrytych białośnieżnymi piórkami, o złotych oczach i dziobach gołębic, prowadziło arkę, w której brzmiała muzyka w chwili przyjazdu księcia; potem liczne gołębie wyleciały z arki, a jeden z nich, siadłszy na sobolowej czapce naszego najświetniejszego elektora, zaczął bić skrzydłami i śpiewać jakąś arię cudzoziemską, daleko piękniejszą, niż ta, jaką słyszano w 70 lat później, gdy śpiewał mistrz kapeli Bernard Pasquino Grosso z Mantui. Był potem turniej, na którym się ukazał elektor Saski i hrabia de Barby, w okręcie pokrytym materią żółtą i czarną i z chorągwią złotą. Za nimi dziecko, które dnia wczorajszego grało rolę Kupidyna, ukazało się tym razem w długiej, pstrej sukni, w czapce żółto-czarnej i z długą siwą brodą. Dokoła okrętu tańczyły i skakały osoby szlacheckiego rodu, przystrojone w głowy i ogony łososi, śledzi i innych lekkich rybek. Wieczorem o dziesiątej — puszczono ogień sztuczny, wyobrażający twierdzę obleżoną przez lancknechtów¹⁰, którzy byli znakomitymi strzelcami i za pomocą swych arkebuzów urządzali rozmaite figle. Widziano w powietrzu, jak zapalali się i rozpryskiwali ludzie ogniści i ogniste konie, ptaki nieznanne i inne nadzwyczajne zwierzęta. Zabawa ta trwała dwie godziny.

Zabawa

⁶*opus magnum* (łac.) — wielkie dzieło. [przypis edytorski]

⁷*kontent* (z fr. *content*) — zadowolony. [przypis edytorski]

⁸*August Saski* (1526–1586) — książę elektor Saksonii. [przypis edytorski]

⁹*Szpandawa* (niem. *Spandau*) — dzielnica Berlina. [przypis edytorski]

¹⁰*lancknecht* — żołnierz piechoty niemieckiej na przełomie XV i XVI w. [przypis edytorski]

Kiedy złotnik wszystko to opowiadał, sekretarz prywatny słuchał go z wyrazem najwyższego zaciekawienia; pocierał ręce, wykrzykiwał, poruszał się na krześle i co chwila pił nowy kieliszek wina.

— Mój szanowny profesorze — zawołał wreszcie falsetem¹¹, jaki zwykle przybierał w ekstazie radości; mój drogi i szanowny profesorze, są to rzeczy nadzwyczajne, a ty je opowiadasz tak, jakbyś je sam był widział.

— Ba — odparł Leonard — i czemuż bym ich sam nie miał widzieć?

Tussman, nie rozumiejąc znaczenia tych zdumiewających wyrazów, chciał dalsze zadawać pytania, gdy starzec rzekł do złotnika:

— Zapominasz o najpiękniejszych uroczystościach, co to cieszyły Berlin w czasie, którego chwałę opiewasz. Nie mówisz o tych stosach, na których płynęła krew nieszczęśliwych ofiar, którym za pomocą okropnych tortur wydzierano wszelkie zeznania, jakie tylko mógłby sobie wyobrazić najgrubszy przesąd.

— Ach — rzekł sekretarz prywatny — chcesz zapewne, drogi panie, mówić o tych procesach czarnoksiężników, jakie robiono dawnymi czasy. Tak, były to rzeczy złe, którym szczęśliwie kres położył nasz wiek oświecony.

Złotnik rzucił osobliwym spojrzeniem na starca i na Tussmana i z tajemniczym uśmiechem zapytał, czy znają historię intendenta skarbu, Żyda Lippolda, która się odbyła w r. 1572.

Zanim Tussman odpowiedział, Leonard zaczął mówić:

— Ten Lippold, który miał całe zaufanie elektora i któremu powierzone były finanse kraju, oskarżony został o wielkie szachrajstwa¹²; ale, czy to, że się umiał usprawiedliwić, czy też, że miał do rozporządzenia inne środki, by wykazać swą niewinność wobec elektora, czy też przekupił osoby zaufane: dość, że go uniewinniono całkowicie. Tylko straż miejskie czuwały koło jego domu, na ulicy Stralowskiej. Pewnego dnia pokłócił się z żoną, która w gniewie zawołała:

— Gdyby elektor wiedział, jakim ty jesteś niegodziwcem i ile złego możesz zrobić za pomocą swojej księgi czarnoksiężskiej, to by cię upiekli na stosie!

O tych słowach doniesiono księciu, który nakazał zrobić surową rewizję w domu Lippolda. Znalaziono księgę magiczną, a ponieważ byli ludzie, co ją rozumieli, oczywista się stała zbrodnicość Żyda. Zażywał on diabelskich środków, aby uwieść swego pana i rządzić krajem. Spalono go na nowym rynku: ale gdy płomień pożarł jego ciało i przeklętą księgę, naraz¹³ ze stosu wyszła wielka mysz; niejeden z widzów był przekonany, że to właśnie jest demon Lippolda.

W czasie tego opowiadania złotnika starzec siedział, oparłszy o stół ramiona i ukrył twarz w dłoniach, przy czym jęczał i wdychał, jak człowiek, który doznaje niewymownych cierpień.

Tajny sekretarz prywatny zdawał się przeciwnie mało zwracać uwagi na to opowiadanie. Twarz jego była uśmiechnięta, a umysł zajęty wcale¹⁴ inną sprawą. Gdy Leonard skończył mówić, sekretarz zwrócił się do niego i słodkawym głosem powiedział:

— Mój czcigodny i szanowny profesorze, czy to istotnie była panna Albertyna Vowsinkel, co spoglądała na nas swymi pięknymi oczami ze szczytu wieży?

— Jak to? — odparł złotnik. — I cóż pan ma za sprawę z czarującą panną Albertyną?

— Ach — zawołał nieśmiało Tussman — ależ to jest właśnie ta miła osoba, którą postanowiłem kochać i poślubić.

— Panie — zawołał złotnik, zaczerwieniony, łyskając płomieniami w oczach — panie, sądzę, że jesteś opętany przez diabła lub całkowicie pozbawiony zmysłów: pan chce poślubić młodą Albertynę, pan, nędznik zużyty do szczytu przez lata, pan, który z całą swoją mądrością szkolną i z swoim Tomasiusem — nie widzisz nic o trzy kroki przed nosem? Nie oddawaj się ani na chwilę takim myślom albo ci kark złamię w to zrównanie dnia z nocą!

Sekretarz prywatny był człowiekiem łagodnym, spokojnym, nawet bojaźliwym, który nigdy nie odpowiadał ostro na zaczepki. Lecz odezwa złotnika była zbyt gwałtowna, a że

¹¹falset — nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]

¹²szachrajstwo — kręactwo, oszustwo. [przypis edytorski]

¹³naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

¹⁴wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

zresztą Tussman pił więcej niż zwykle, podniósł się rozgniewany i chrapliwym głosem ją krzyknął:

— Nie wiem, na jakiej zasadzie przypisuje pan sobie prawo mówienia do mnie w ten sposób, panie nieznajomy! Sądzę, że chciałeś sobie ze mnie zakpić szeregiem igraszek dzieciennych, i że sam ośmielasz się miłować pannę Albertynę. Narysowałeś na szkle jej portret i za pomocą latarni magicznej, którą ukryłeś pod płaszczem, pokazałeś mi na wieży starego ratusza tę miłą postać. Ale ja znam te wszystkie fortele i mylisz się, jeśli ci się zdaje, że mnie złamiesz tymi figlami i swoją grubiańską mową.

— Strzeż się — rzekł złotnik — strzeż się, bratku! Masz tu sprawę z bardzo ciekawymi ludźmi!

W tej samej chwili twarz złotnika zmieniła się w lisią głowę, która tak przeraziła sekretarza, że upadł i wywrócił się na krześle. Starzec nic a nic się nie zdziwił tą przemianą złotnika:

— Patrzcie — rzekł — co za żarty! To pusta igraszka. Ja znam lepsze, a dla ciebie za wysokie, Leonardzie!

— Pokaż — rzekł złotnik, który znów przybrał twarz ludzką i spokojnie siedział przy stole. — Pokaż, co umiesz robić.

Starzec wyjął z kieszeni wielką czarną rzodkiew, zdjął z niej dokładnie lupinę nożem, pokrajał ją na małe plasterki i położył je na stole. Za każdym razem, gdy uderzał w rzodkiew, powstawała sztuka złotej monety, którą Żyd podawał Leonardowi, a skoro tylko ów jej dotykał, złoto rozpadało się w iskierkach. Starzec rozdrażniony, że sztuki złota tak się kruszą, coraz więcej bił w rzodkiew i coraz nowe monety składał w ręce złotnika.

Sekretarz, przerażony, wyrwał się na koniec z oszołomienia i rzekł głosem drżącym:

— Moi czcigodni panowie, mam zaszczyt was pożegnać. — Po czym, pochwyciwszy laskę i kapelus, wyskoczył z winiarni.

Na ulicy słyszał, jak dwaj zagadkowi jegomoście pękali ze śmiechu. Krew zastygła mu w żyłach.

ROZDZIAŁ II

Młody malarz Edmund Lehsen zapoznał się ze złotnikiem w sposób daleko poważniejszy, niż sekretarz prywatny Tussman. Edmund siedział pewnego dnia w samotnym miejscu w parku i rysował według natury grupę drzew, gdy Leonard nadszedł i bez ceremonii poprzez ramię zaczął się przyglądać jego pracy. Edmund rysował dalej, aż złotnik zawołał:

— Szczególną rzecz tu robisz, młodzieńcze; to przecież nie jest grupa drzew, to zupełnie coś innego.

— Cóż widzisz w tym rysunku? — rzekł Edmund błyskając okiem.

— Zdaje mi się — rzekł złotnik — że widzę tu z gęstwiny liści wychodzące najrozmaitsze postacie, geniusze, osobliwe zwierzęta, młode dziewczyny i kwiaty, a jednak wszystko to tworzy dość dobrze grupę drzew, poprzez które świecą promienie słońca.

— Ach, panie — rzekł Edmund — albo ma pan głębokie poczucie i przenikliwe oko, albo też byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w tej próbie. Czy nie zdaje się panu także, gdy się oddajesz gorącemu poczuciu natury, że tysiące istot cudownych patrzy na ciebie skroś¹⁵ drzewa o miłym spojrzeniu? To właśnie chciałem wykazać w tej kompozycji i zdaje mi się, że cel osiągnąłem.

— Rozumiem — odparł Leonard tonem suchym i zimnym — chciałeś się wyzwolić od wszelkich studiów i rozkoszować się grą własnej fantazji.

— Nie, panie — odparł Edmund — uważam ten sposób pracy według natury jako studium najlepsze i najużyteczniejsze; w tym widzę prawdziwą poezję. Malarz pejzażysta powinien być poetą, jak malarz historyczny: inaczej będzie tylko lichym uczniem.

— Niechaj Bóg czuwa nad nami! Jak to? I ty także, drogi Edmundzie Lehsen!

— Jak to, pan zna moje nazwisko?

— Czemuż bym nie miał go znać? Widziałem cię w chwili, której zapewne sobie nie przypominasz, w chwili twoich narodzin. Przy bardzo małym doświadczeniu, jakie było wówczas twym udziałem, prowadziłeś się zgoła przyzwoicie; gdyż matce swojej ból sprawiłeś niewielki i wydałeś okrzyk radości na widok światła, którego ci za moją sprawą

¹⁵skroś (daw.) — przez. [przypis edytorski]

nie odmówiono. Przekonany jestem, zgodnie z opinią nowych lekarzy, że to światło nie tylko nowonarodzonym nie szkodzi, ale owszem dopomaga ich rozwojowi fizycznemu i moralnemu. Pan ojciec był też bardzo zadowolony; skakał na jednej nodze i śpiewał arie z *Fleta zaczarowanego*¹⁶. Potem złożył twoją malutką osobę w moje ręce i prosił mnie, bym ci postawił horoskop, co też z miejsca uczyniłem. Bywałem częstym gościem u twego ojca i pochopnie przyjmowałeś z moich rąk rodzyńki i migdały, które ci przynosiłem. Potem udałem się w podróż; miałeś wtedy sześć lub siedem lat. Po powrocie do Berlina dowiedziałem się z przyjemnością, że ojciec twój przysłał cię tutaj na studia malarskie, którym trudno by ci było poświęcić się w twojej wiosce, gdzie, o ile mi wiadomo, niewiele się znajduje obrazów, marmurów, brązów i innych dzieł drogocennych.

— Boże! — zawołał Edmund. — Teraz wszystkie wspomnienia młodości odrysowują się w moim umyśle. Czy nie jesteś panem Leonardem?

— Istotnie — rzekł złotnik. — Nazywam się Leonard, byłbym jednak bardzo zdumiony, gdybyś o mnie jakieś wspomnienie zachował.

— A jednak to prawda — rzekł Edmund. — Wiem, że twoja obecność była mi bardzo przyjemna, że mi przynosiłeś wszelkiego rodzaju łakocie i że wiele się mną zajmowałeś. Wiem, że twój widok budził we mnie jakiś trwożny szacunek i zakłopotanie, co trwało nawet po twoim zniknięciu; ale zwłaszcza wyryło mi się z pamięci to, co ojciec mój opowiadał o tobie; szczylił się twoją przyjaźnią i mówił mi, żeś go z rzadką zręcznością wydobyl nieraz z kłopotliwej sytuacji; mówił też z entuzjazmem, jak to przeniknąłeś wiedzę tajemną; twierdził, że do woli władasz tajemniczymi potęgami natury, a niekiedy, wybacz, wyrażał przypuszczenie, że możesz być Ahaswerem czyli Żydem Wiecznym Tułaczem.

— Czemuż nie Szczurołapem z Hammeln, albo starym Wszędobylskim i Nigdziebylskim albo jakimś koboldem, krasnoludkiem? — odrzekł złotnik. — Ale to prawda i nie mogę zaprzeczyć, że mam w sobie pewne osobliwości, które w ludziach budzą zawsze złośliwe podejrzenia. Prawda i to, że oddałem twemu ojcu liczne i ważne usługi dzięki swym naukom tajemnym i zwłaszcza rozradowałem go horoskopem, jaki ci postawiłem przy urodzeniu.

— A więc — odparł z rumieńcem na twarzy Edmund — twój horoskop nie był świetny. Mój ojciec często mi powtarzał, że według waszej sentencji miałem zostać czymś wielkim: albo wielkim artystą, albo wielkim wariatem. Ale tej to przepowiedni zawdzięczam, że ojciec dał mi zupełną swobodę w poświęceniu się karierze artystycznej; czy sądzisz, że się horoskop urzeczywistni?

— Och, niewątpliwie — odrzekł Leonard spokojnie — niewątpliwie! Bo w tej chwili jesteś na najlepszej drodze, aby stać się wielkim wariatem.

— Jak to, panie — zawołał malarz — W żywe oczy mi to mówisz?

— Od ciebie zależy — rzekł złotnik — uniknąć niebezpiecznej alternatywy mego horoskopu i zostać dobrym artystą. Twoje rysunki i szkice zapowiadają żywą i bogatą fantazję, wielką siłę wyrazu i śmiałość planu. Przy takich pierwiastkach można wspaniałym gmachom wybudować. Zrzecz się tych wszystkich próżnych a przesadnych wymagań mody i oddaj się poważnym studiom. Pochwalam cię, że starasz się odtworzyć godność i prostotę starej sztuki niemieckiej; ale w tych usiłowaniach nawet unikaj niebezpiecznych skał, o które inni się rozbili. Trzeba głębokiego uczucia, duszy energicznej, aby się oprzeć zniewieściałemu wpływowi sztuki nowoczesnej, aby ująć ducha mistrzów dawnych i przeniknąć treść wewnętrzną ich obrazów; tym sposobem jedynie poczujesz, jak zapłonnie w twym sercu ogień zapału i stworzysz dzieła godne lepszego czasu. Ale dziś młodzi ludzie wyobrażają sobie, że, gdy namalują oblicza surowe, twarze łokciowe¹⁷, szaty wydęte i kanciaste oraz fałszywą perspektywę — wykonali dzieło na sposób dawnych mistrzów. Ci naśladowcy bez ducha i bez życia są podobni do chłopów, którzy w kościołach szepczą modlitwy łacińskie, nie rozumiejąc ich treści, choć melodię umieją powtórzyć.

Złotnik wypowiedział jeszcze niejedną rozsądną i niejedną podniosłą uwagę o sztuce i dał Edmundowi tyle dobrych wskazówek, że ten, zdziwiony, zapytał, jakim sposobem

Sztuka

¹⁶*Flet zaczarowany* — właśc. *Czarodziejski flet*. Opera skomponowana przez Wolfganga Amadeusza Mozarta w 1791 r. [przypis edytorski]

¹⁷*łokciowy* — tu: ogromny (od łokcia, dawnej miary długości). [przypis edytorski]

Leonard zdobył sobie tyle wiadomości, nie będąc sam malarzem i dlatego żyje nie znany nikomu, gdy mógłby potężnie wpływać na rozwój sztuki.

— Mówiłem ci już — rzekł złotnik tonem łagodnym i poważnym — że długie i nawet cudowne doświadczenie dało przenikliwość mojej władzy sądenia i memu spojrzeniu. Co do mego sposobu życia, to wiem, że wszędzie bym wyglądał dziwnie, co wypływa nie tylko z mojej organizacji, ale też z poczucia pewnej potęgi, która się mieści we mnie, a wszystko to zamąciłoby mój spokojny żywot. Często myślę o człowieku, który mógłby być pod pewnymi względami moim przodkiem, a z którym utożsamiałem się tak doskonale co do ciała i ducha, że nieraz mi przychodzi osobliwa myśl, jakobym był nim samym. Ten, o którym mówię, był to Szwajcar, Leonard Turmhauser z Thurm, który, w r. 1582 żył tutaj na dworze elektora Jana Jerzego. Owymi czasy, jak to wiesz, każdy chemik był alchemikiem, a każdy astronom nazywał się astrologiem. Turmhauser był jednym i drugim. Rzecz pewna, iż dokonał rzeczy najdziwniejszych i że między innymi odznaczył się jako znakomity lekarz. Miał jednak tę wadę, że wszędzie wystawiał na widok publiczny swoją naukę, że chciał się wtrącać do wszystkiego radą i czynem. Próżność ta obudziła przeciw niemu zazdrość i nienawiść; elektora zapewniano, że Turmhauser umie robić złoto, a on tymczasem, czy że nie znał tej roboty, czy też z innych powodów uparcie odmawiał zająć się tą sprawą. Wtedy nieprzyjaciele Turmhausera jęli szeptać elektorowi:

— Patrzcie, jaki to człowiek bezczelny! Chwali się wiedzą, której nie ma, oddaje się różnym złowrogim praktykom. Powinien zginąć haniebną śmiercią, jak Żyd Lippold.

Wiadomo, że Turmhauser był złotnikiem, a zaprzeczano mu wszelkiej nauki, której przecież dał dowody niezbite. Puszczono pogłoskę, że nie on sam ułożył, ale za pieniądze kupił mądre księgi i przepowiednie, które ogłosił.

Nienawiść, potwarz doszły do takiego stopnia, że, aby uniknąć losu Żyda Lippolda — Turmhauser musiał potajemnie uciec z kraju. Nieprzyjaciele jego mówili, jakoby miał przystać do papistów¹⁸, ale to fałsz. Ukrył się w Saksonii i dalej prowadził swój zawód złotnika, nie wyrzekając się nauki.

Edmund czuł się mocno pociągniętym ku staremu złotnikowi, a ten mu się wywdzięczał zaufaniem i szacunkiem, nie tylko za pomocą poważnej krytyki, ale też ucząc go różnych tajemnic, znanych starym malarzom, co do wyrobu i mieszania farb.

Tak zadzierzgnął się między Edmundem i starym Leonardem związek w rodzaju tych, jakie się układają pomiędzy uczniem wielkich nadziei a mistrzem tkliwym i pobłażliwym.

W jakiś czas potem, pewnego wieczoru letniego, w parku radca Melchior Voswinkel nie mógł mimo starań zapalić żadnego ze swoich cygar; rzucał je na ziemię jedno po drugim i z gniewem krzyczał:

— O Boże, ileż to się nastarałem, ileż wydałem pieniędzy, aby te cygara sprowadzić z Hamburga! I oto mi się psuje ta miła przyjemność! Jakże teraz mógłbym się naleźycie przyglądać pięknej naturze i pogrążyć w użytecznych rozmyślaniach? To okropne!

Mówił niejako te słowa do Edmunda, który siedział koło niego, a którego cygaro paliło się żywo i radośnie. Jakkolwiek Edmund nie znał radcy, wyjął z kieszeni pudełko cygar i po przyjacielsku je przedstawił nieszczęśliwemu sąsiadowi, zapewniając go, że odpowiada za doskonałość tytoniu, choć ten nie pochodzi wprost z Hamburga.

Radca ożywił się nagle i pełny radości, wziął jedno z cygar, dziękując serdecznie i natychmiast je zapalił, z rozkoszą się przyglądając lekkim, srebrnym obłoczkom dymu, spiralnie w górę się unoszącym.

— O, drogi panie — zawołał — wyprowadzasz mnie z przykrego położenia. Dziękuję panu jeszcze sto razy i ośmielię się nawet być tyle bezczelnym, aby pana poprosić o drugie cygaro, kiedy to wypalę.

Edmund ofiarował mu do rozporządzenia swe pudełko i pożegnali się.

Artysta, zajęty pewnym pomysłem, który chciał namalować, przedzierać się zaczął przez tłum, aby swobodnie przebrnąć w pustą aleję, gdy nagle radca znalazł się przed nim i pytał go życzliwie, czy nie zechciałby zasiąść z nim razem przy jednym stoliku.

Edmund już o mało co nie odmówił staremu, gdy przy stoliku, gdzie radca ofiarował mu miejsce, ujrzał młodą pannę zachwycającą pięknoscią i wdziękiem.

¹⁸papiści (daw., pogardl.) — katolicy. [przypis edytorski]

— To moja córka Albertyna — rzekł radca Edmundowi, który na nią spoglądał nie-
ruchomy tak, że zapomniał się jej uklonąć. Poznał w Albertynie prześliczną osobę, którą
rok temu widział na wystawie, gdy właśnie stała przed jednym z jego obrazów; wyjaśniała
umiejtnie pewnej starszej damie i dwóm panienkom, które jej towarzyszyły, znaczenie
tego fantastycznego malowidła. Badała kolejno rysunek kompozycji, chwaliła autora tego
dzieła i mówiła, że musi to być artysta pełen talentu i że byłaby rada go poznać. Edmund,
stojąc za nią, rozkoszował się tymi pochwałami, wypowiedzianymi przez tak różowe usta.
Serce drżało mu z trwogi i radości, i chciał się przedstawić jako twórca obrazu. W tej sa-
mej chwili Albertynie wypadła z dłoni rękawiczka. Edmund nachyla się, by ją podnieść,
Albertyna podobnie — i oto uderzają się głowami; Albertyna wydaje okrzyk bólu.

Edmund cofa się przerażony, włazi na nogi małego psiaka, którego jakaś starsza dama
prowadzi na sznurku, aż pies zaskowyczał; potem nasz artysta depcze odciski jakiegoś
tłustego profesora, który zaryczał okrutnie i do wszystkich diabłów posyła młodzieńca.
Przybiegają ze wszech stron; wszystkie lornety skierowane są na biednego Edmunda,
który, wśród skowytu pinczera¹⁹, przekleństw profesora, obelg starszej pani, szyderstwa
panien — ucieka zawstydzony, gdy kilka kobiet śpieszy na pomoc Albertynie i pociera
jej skronie wodą pachnącą.

W tym momencie krytycznym Edmund zakochał się, sam nie wiedząc jak i przykre
uczucie niezgrabności było mu jedyną przeszkodą, że nie poszukiwał panny po wszyst-
kich krańcach miasta. Nie mógł jej sobie wyobrazić inaczej, jak z napuchniętym czołem
i z gniewem na twarzy; ale tegoż wieczoru nikt by nie dostrzegł śladów tego zdarzenia. Co
prawda Albertyna bardzo się zarumieniła i była wielce zmieszana na widok młodzieńca,
ale gdy radca zapytał Edmunda o imię i stanowisko, panna z uśmiechem powiedziała, że
rozpoznaje w nim świetnego artystę, którego rysunki i malowidła oglądała z głębokim
wzruszeniem.

Można sobie wyobrazić żywe wrażenie, jakie te słowa wywarły na młodego malarza.
W zachwycie chciał pannie złożyć tysiączne podziękowania, gdy nagle radca go zatrzymał
i rzecze:

— A więc, mój drogi, gdzież to cygare, któreś mi obiecał? — Po czym mówił dalej:

— A zatem jesteś malarzem i to dobrym malarzem, jak powiada moja córka, która się
na tym zna doskonale. Raduje mnie to wielce; lubię malarstwo albo raczej sztukę, żeby
powiedzieć jak moja córka Albertyna. Nie dam się oszukać: jestem znawcą, prawdziwym
znawcą obrazów i nikomu się nie uda zwieść mię, abym wziął Iksa za Ygreka. Powiedz mi
szczerze, drogi artysto, pominiawszy wszelką niepotrzebną skromność, czy to nie ty jesteś
owym zręcznym malarzem, którego obrazy co dzień, przechodząc, oglądam, a których
świetne barwy codziennie podziwiam.

Edmund nie rozumiał dobrze, o jakich obrazach chciał mówić radca. Wreszcie, roz-
pytawszy się należycie, znalazł, że Melchior Voswinkel miał na oku po prostu tace lakowe,
ekrany i inne tego rodzaju dzieła, które istotnie oglądał co rana z prawidłowym zachwy-
tem, przechodząc obok wystawy bogatego magazynu Staubwassera. To właśnie uważał za
doskonałą sztukę. Edmund nie bardzo czuł się pochlebiony podobnym komplementem
i kłął radcę, który mu przeszkadzał rozmawiać z Albertyną. W końcu ktoś ze znajomych
zbliżył się do radcy i wdał się z nim w długą rozmowę, z czego Edmund skorzystał, by się
przybliżyć do Albertyny, która bynajmniej z tego nie była niezadowolona.

Wszyscy, którzy znają Albertynę, wiedzą, że jest to wcielenie młodości, wdzięku
i piękności; że się ubiera ze smakiem według ostatniej mody, że śpiewa w Akademii
Muzycznej, że brała lekcje fortepianu od najlepszych nauczycieli, że naśladować umie pi-
ruety najpierwszej tancerki, że potrafi kopiować kwiaty z doskonałą umiejętnością, że jest
z natury wesoła i pełna równowagi. Każdy też wie, że nosi przy sobie mały sztambuch²⁰
w safianowej okładce, ze złożonymi brzegami i że wypisuje w nim sobie najpiękniejsze
myśli, jakie znaleźć można w dziełach Goethego, Jean-Paula²¹ i innych wybitnych pisarzy,
i na koniec powszechnie wiadomo, że nie robi nigdy błędów gramatycznych.

¹⁹pinczer — rasa małego psa. [przypis edytorski]

²⁰sztambuch — rodzaj pamiętnika, do którego wpisują się znajomi. [przypis edytorski]

²¹Jean-Paul — właśc. Johann Paul Friedrich Richter (1763–1825), pisarz, prekursor niemieckiego romanty-
zmu. [przypis edytorski]

Albertyna, siedząc obok pełnego zapachu malarza, doznała wzruszenia daleko żywszego, niż je odczuwała w towarzystwie zwykłym i głosem melodyjnym szeptała miłe słowa.

Wiatr wieczorny zaczął szumieć, unosząc na skrzydłach zapach kwiatów. W gęstym gaju słowiki wyśpiewywały swoje tęsknoty miłosne. Wówczas Albertyna zaczęła mówić wiersz z poezji Fouqué²²:

Szelesty i szumy wiosny
Przez gajów płyną zagłusze:
Niby sidła, żar miłosny —
Pęta nam ciało i duszę.

Ośmielony ciemnością, Edmund ujął rękę Albertyny i przycisnął ją do serca, przy czym mówił dalej:

Gdym śpiewał, to, co tak rzewnie
Wieści to życie serdeczne:
Zda się w mą pierś wnikło śpiewnie
Miłowania światło wieczne.

Panna wyrwała mu rękę, ale po to tylko, by zdjąć rękawiczkę i dłoń obnażoną pozostawić szczęśliwemu Edmundowi, który już miał ją okryć pocałunkami, gdy naraz zbliżył się radca:

— Wieczór staje się chłodny; szkoda, że nie wziąłem płaszcza lub okrycia; owiń się szalem, moja Albertyno! Jest to szal turecki, kochany panie malarzu, za który zapłaciłem pięćdziesiąt dukatów²³. Owiń się nim i wracajmy. Do widzenia, drogi przyjacielu!

Edmund, kierowany delikatnym taktem, w tej chwili wyjął pudełko i ofiarował radcy nowe cygaro.

— Dzięki, dzięki po tysiąc razy — zawołał Mechior — jesteś niezmiernie uprzejmy. Policja nie pozwala w ogrodzie palić w czasie przechadzki, toteż cygaro wyda mi się tym lepsze.

Gdy radca zbliżał się do latarni, by zapalić cygaro, Edmund nieśmiało zapytał Albertynę, czy pozwoli sobie towarzyszyć. Wzięła go za ramię i oboje poszli razem, a gdy radca ich dogonił, zdawałoby się, że przewidział, iż Edmund wraz z nimi pójdzie do miasta.

Ktokolwiek był młody i zakochany, albo jest jeszcze młody i zakochany — zrozumie, że Edmund, krocząc obok Albertyny, nie sądził, że jest w lesie, ale w najwyższych obłokach, koło jakiej istoty nadziemskiej.

Według Szekspirowskiej Rozalindy²⁴ oto z jakich cech można rozpoznać zakochanego: policzki obwisłe, oczy podsiniałe, umysł roztargniony, broda nieuczesana, podwiązki rozplątane, czapka na wywrót położona, rękawy niezapięte, trzewiki nie zasnurowane i rozpaczliwa niedbałość we wszystkich rzeczach.

Edmund nie objawiał tych wszystkich osobliwości, ale jak zakochany Orlando niszczył wszystkie drzewa, wypisując na ich korze imię Rozalindy, tak Edmund zmarnował niemało papieru, pergaminu, płótna, farb, aby opiewać swą ukochaną lichym wierszem i aby ją rysować i malować, nie dosięgając nigdy obrazu, jaki widział w imaginacji. Ponieważ przy tym nieustannie ciężko wzdychał, zdarzyło się, że stary złotnik w krótkim czasie odkrył tajemnicę swego młodego przyjaciela. Na pierwsze zapytanie, Edmund natychmiast otworzył przed nim swe serce.

— Jak to — zawołał — czyżbyś o tym myślał naprawdę? Nie wolno kochać cudzej narzeczonej. Albertyna jest prawie zaręczona z sekretarzem tajnym Tussmanem.

Na tę okropną wiadomość Edmund wpadł w gwałtowną rozpacz. Leonard spokojnie oczekiwał, póki się jego paroksyzm²⁵ nie skończy i pytał go, czy poważnie marzy o małżeństwie z Albertyną. Edmund zapewniał, że to jego najgorętsze życzenie i błagał starego przyjaciela, aby ten całej swej potęgą użył, by mu dopomóc i usunąć sekretarza.

²²Fouqué, Friedrich (1777–1843) — niemiecki pisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

²³dukat — złota moneta bita w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

²⁴Rozalinda — bohaterka szekspirowskiej komedii *Jak wam się podoba*. [przypis edytorski]

²⁵paroksyzm — wybuch, napad. [przypis edytorski]

Złotnik mu odrzeczł, że za bardzo właściwe uważał, aby młody artysta był zakochany, co nie znaczy, aby myślał się żenić. Tak młody Sternbald²⁶ nigdy się nie mógł na to zdecydować. Ta uwaga uderzyła Edmunda, który chętnie odczytywał *Sternbalda* Tiecka i bardzo by pragnął być bohaterem tego romansu.

— A więc dobrze! Niech będzie, co chce — rzekł w końcu złotnik — oswobodzę cię od twego rywala, a ty wciśniesz się do domu radcy i postarasz się przybliżyć do Albertyny. Moje operacje mogą jednak się zacząć dopiero w czas zrównania dnia z nocą.

Widzieliśmy, w jaki sposób złotnik zabrał się do rzeczy, aby usunąć sekretarza tajnego.

ROZDZIAŁ III

Ze wszystkiego, co wiesz, drogi czytelniku, o prywatnym sekretarzu kancelarii Tussmanie, możesz sobie wyobrazić tego człowieka i jego maniery. Dodam, co się tyczy jego postaci zewnętrznej, że był to człowiek małego wzrostu, łysy, przygarbiony nieco i po prostu śmieszny. Nosił surdut wycięty dawną modą, z połami²⁷ niepomiernej długości, nie mniej długą kamizelkę, szerokie spodnie, trzewiki skrzypiące jak buty robotnika, a ponieważ, zamiast kroczyć równym krokiem po ulicach, biegł w poskokach i w susach, poły surduta, wiatrem unoszone, latały jak skrzydła. Choć jego twarz była bardzo zabawna, pocziwy uśmiech, błędzący mu po ustach, wywoływał dla niego życzliwość i lubiono go w ogóle, pomimo jego pedantyzmu i niezgrabności. Jego namiętnością było czytanie: wychodząc z domu, zawsze miał kieszenie pełne książek; czytał wszędzie, gdzie się pokazał: na przechadzce, w kościele, w kawiarni; czytał bez wyboru wszystko, na co natrafił, aby tylko była mowa o dawnych czasach, bo nowych nie cierpiał. Tak jednego wieczoru na przykład czytał w kawiarni starą algebrę, nazajutrz regulamin kawalerii Fryderyka Wilhelma I²⁸, potem cudowne dzieło p. t. *Cycero wyobrażony w dziesięciu mowach, jako wielki gaduła i wielki blagier*, 1720. Tussman posiadał nadzwyczajną pamięć; notował zwykle wszystko, co go w książce uderzyło, potem odczytywał swe noty i nigdy ich nie zapominał. W ten sposób stał się polihistorem²⁹, encyklopedią żywą, którą przerzucał każdy, co potrzebował jakiejś informacji historycznej czy naukowej. Jeżeli się zdarzyło, że nie mógł dać natychmiast żądanej wiadomości, w tej chwili zaczynał poszukiwania po wszystkich bibliotekach, aż na koniec znalazł, o co mu chodziło i powracał z radością, przynosząc odpowiedź. Rzecz szczególna, że pozornie zaabsorbowany czytaniem, słyszał wszystko, o czym mówiono dokoła niego. Często się wtrącał do rozmowy z jakąś rozsądną uwagą, a jeżeli ktoś powiedział jakie słowo dowcipne lub zabawne, wówczas, nie podnosząc oczu od książki, przyklaskiwał głośnym śmiechem.

Książka

Radca Voswinkel był w szkole mnichów szarych z sekretarzem i od owych czasów datowała ich ścisła przyjaźń. Albertyna rosła w oczach Tussmana, a gdy miała lat dwadzieścia, przyniósł jej piękny bukiet i pocałował ją w rękę z galanterią, jakiej byś nie oczekiwał od niego. Od tego dnia radca postanowił ożenić swego starego kolegę z Albertyną; miał nadzieję, że Tussman zadowolony się skromnym posagiem³⁰ i w osiemnastą rocznicę urodzin córki objawił sekretarzowi projekt, który dotychczas utrzymywał w tajemnicy. Ten był przerażony słowami starego kolegi: nie śmiał oddać się zuchwałej myśli, by zawrzeć małżeństwo, a zwłaszcza z młodą panną. Z wolna jednak przywykł do tej idei i poczuł, jak serce mu zapłonęło gorącą miłością w dniu, w którym Albertyna ofiarowała mu sakiewkę wyhaftowaną własnoręcznie. Oświadczył wtedy radcy, że postanowił się ożenić, a ponieważ ten ucałował go, tytułując swym zięciem, pocziwy Tussman zaczął się uważać za małżonka Albertyny, choć panna ani słowa o tym nie słyszała i nie miała najmniejszego przypuszczenia co do tych projektów.

Nazajutrz rano po owej nocy, kiedy sekretarza spotkała dziwna przygoda pod starą wieżą ratuszową i na placu Aleksandra, ten, blady i w beładnych sukniach, przybył do swego starego przyjaciela. Radca był niemało przerażony na widok Tussmana, przyby-

²⁶*Sternbald, Franz* — bohater powieści niemieckiego pisarza okresu romantyzmu Johanna Ludwiga Tiecka. [przypis edytorski]

²⁷*poła* — jedna z dwóch dolnych części rozpinanego ubrania, takiego jak np. marynarka. [przypis edytorski]

²⁸*Fryderyk Wilhelm I* (1688–1740) — król prusko-brandenburski, członek dynastii Hohenzollernów. [przypis edytorski]

²⁹*polihistor* — uczony, człowiek posiadający wiedzę z wielu dziedzin. [przypis edytorski]

³⁰*posag* — dobro materialne wnoszone przez żonę przy zawarciu małżeństwa. [przypis edytorski]

wającego tak wczesnym rankiem i postrzegając wyraz wstrząśnięć moralnych, na jego fizjonomii³¹ odbity, zawołał:

— Drogi sekretarzu, skąd przychodzisz? Co znaczy ta przerażona twarz i co się zdarzyło?

Tussman rzucił się w fotel i po kilku minutach ciężkiego wdychania, zaczął mówić drżącym głosem:

— Przyjacielu, jak mnie widzisz z tym ubraniem i *Traktatem Mądrości Politycznej* w kieszeni, przybywam z ulicy Szpandawskiej, po której tłukłem się całą noc od wczoraj. Nie wróciłem do domu; nie widziałem swego łóżka; nie zamknąłem oka.

Wówczas Tussman zaczął opowiadać wszystko, co mu się nocy poprzedniej wydarzyło, począwszy od pierwszego spotkania z bajecznym złotnikiem, aż do chwili, w której uciekł z winiarni, przerażony wszystkim, co się tam działo.

— Mój drogi sekretarzu — rzekł radca — wbrew przyzwyczajeniu piłeś za dużo i miałeś sny dziwadlane!

— Jak to? — zawołał Tussman — więc ci się zdaje, że spałem, że roilem? Czy myślisz, że nie wiem, co to jest sen, a co marzenie? Mogę ci rozwinąć teorię Nudowa co do snu — i dowieść, że można spać bez marzeń; dlatego Hamlet mówi: Spać, może marzyć! Co do widzeń sennych, to wiedziałbyś w tym przedmiocie tyleż, co ja, gdybyś był czytał *Somnium Scipionis*³² oraz sławne dzieło Artemidora³³ o marzeniach i *Księgę snów* wydaną we Frankfurcie. Ale ty nie czytasz nic i zawsze wydajesz fałszywe sądy.

— No, no — rzekł radca — uspokój się; wierzę ci, że wpadłeś wczoraj w ręce jakichś szarlatanów³⁴, którzy sobie zadrwili z ciebie i zabawili się tobą, ale powiedz mi, dlaczego opuściwszy winiarnię, nie wróciłeś do domu raczej, zamiast włóczyć się całą noc po ulicach?

— Drogi radco! — zawołał sekretarz tajny — drogi towarzyszu ze szkoły mnichów szarych, nie obrażaj mej boleści obelżywym zwątpieniem; ale dowiedz się, że ta diabelska przygoda w najlepszy sposób rozwijała się dalej, kiedy byłem na ulicy. Podeszedłszy do ratusza, ujrzałem wszystkie okna oświetlone, usłyszałem odgłos tańca i wesołą muzykę z towarzyszeniem bębna janczarskiego. Nie wiem, jak się to stało, że choć nie jestem wysokiego wzrostu, jednak stanąwszy na palcach, zdołałem rozróżnić widowisko, odbywające się wewnątrz budynku. Cóżem obaczył, Stwórco niebieski! Córka twoja, panna Albertyna, przybrana w świetny strój weselny tańczyła szalenie z jakimś młodzieńcem. Uderzam w okno i wołam: „Czcigodna panno Albertyno, co czynisz, o czym myślisz w tej godzinie?” W tej samej chwili jakaś istota ohydna wchodzi z ulicy Królewskiej, w biegu odrywa mi nogi od ciała i ucieka z wybuchami śmiechu. Ja, nieszczęsny sekretarz prywatny, upadłem w błoto i krzyczę: „Straże nocne, lucznicy policyjni, patrole przeznaczone — przybywajcie, przybywajcie na pomoc! Zatrzymajcie nędznika, co mi ukradł nogi!” Ale naraz wszystko pociemniało i zamilkło w Ratuszu, a mój głos przepada w powietrzu. Gdy zaś ja tonę cały w rozpacz, widziadło ukazuje się powtórnie i nogi w twarz mi ciska. Powstaję i pędzę w ulicę Szpandawską. I otóż, gdy chcę klucz włożyć we drzwi swego domu, widzę samego siebie, tak, samego siebie przed sobą; patrzę na siebie tymi samymi wielkimi, czarnymi oczami, jakie mam pod rzesą — cofam się ze zgrozą — i wpadam na człowieka, który mnie obejmuje mocną ręką. Z halabardy³⁵ w jego rękach, poznaję, że to strażnik nocny: „Ach, mój miły człowieku, mówię, uczyni mi tę przyjemność i przepędź tego łajdaka, sekretarza tajnego Tussmana, abym ja, prawdziwy, uczciwy Tussman, mógł wejść do swego mieszkania”.

— Zdaje mi się, żeś dostał bzika — odpowiada mi ten człowiek głosem bezdźwięcznym; i poznaję strasznego złotnika. Zgroza mnie ogarnęła i zimnym potem zrosiło się me czoło: „Mój szanowny profesorze — rzekłem mu drżąc — wybac mi, jeżeli w ciemności wziąłem cię za stróża nocnego. Nazywaj mnie, jak chcesz; mów „panie Tussman”

Sen, Czary

³¹fizjonomia — rysy twarzy, wygląd. [przypis edytorski]

³²*Somnium Scipionis* (łac.) — *Sen Scypiona*, fragment szóstej księgi *De Re Publica* Cicerona, przedstawiający wizję zaświatów. [przypis edytorski]

³³Artemidor z Efezu — gr. filozof z II w. p.n.e. [przypis edytorski]

³⁴szarlatan — oszust. [przypis edytorski]

³⁵halabarda — broń drzewcowa, dziś służy jedynie jako broń reprezentacyjna. [przypis edytorski]

po prostu albo nawet „mój kochany”; traktuj mnie jako sługę, zniosę wszystko; tylko błagam cię, uwolnij mnie od tego czarnoksiężstwa, które tej nocy rzuciłeś na mnie”.

— Tussman — odparł mi ten złowrogi czarownik — unikniesz na zawsze tego rodzaju przypadków, jeżeli mi przysięgniesz natychmiast, że się wyrzekasz swego małżeństwa z Albertyną.

Możesz sobie wyobrazić, drogi radco, co za wrażenie wywołały we mnie te okropne słowa.

— Szanowny profesorze — odparłem — do krwi ranisz mi serce. Walc jest to taniec nieprzyzwoity, a panna Albertyna, moja narzeczona, walcowała z jakimś nieznanym młodzieńcem w sposób taki, że traciłem zmysły. A przecież nie mogę się jej wyrzec, nie, nie mogę!

Zaledwie wyrzekłem te słowa, gdy przekłuty złotnik uderzył mnie tak gwałtownie, że zacząłem się kręcić dokoła samego siebie. Pchany jakąś niezwalczoną siłą, bez wytchnienia tańczyłem walca w ulicy Szpandawskiej i trzymałem w ręku brudną miotłę, która mi twarz drapała, gdy psy niewidzialne szarpały mi grzbiet, a tysiące sekretarzy Tussmanów kręciło się dokoła mnie z miotłami w rękach. Na koniec upadłem bez przytomności. Gdy zaczynało świtać i gdy oczy otworzył, wyobraź sobie moje przerażenie, siedziałem na koniu statuy wielkiego elektora, z głową opartą o zimne piersi ze spiżu. Szczęściem, straż była uśpiona, tak że mogłem zejść niepostrzeżony, lecz bądź jak bądź, mogłem kark złamać. Uciekłem wtedy w stronę ulicy Szpandawskiej, a jakiś przestרח niewytłumaczony pociągnął mnie ku tobie.

— Nie sądzisz chyba, drogi sekretarzu — rzekł radca — abym mógł uwierzyć w twoje wszystkie szaleństwa. Czy kto słyszał o takich czarodziejskich sztukach w naszym, tak oświeconym mieście?

— A więc — widzisz, drogi przyjacielu, jaki popełniasz błąd, że nic nie czytasz. Gdybyś tylko czytał, jak ja, *Microchronicon Marchicum* Haftitiusa, rektora dwóch szkół w Berlinie i w Kolonii, to byś wiedział, że bywało tu i wiele innych rzeczy. Ostatecznie, skłonny jestem do wiary, że złotnik to diabeł we własnej osobie, który mnie prześladuje i dręczy.

— Proszę cię, drogi sekretarzu, oszczędź mi tych dziecinnych guślarstw; uspokój się i wyznaj, żeś pił nieco za wiele i że w stanie podchmielonym wlałeś na konia wielkiego elektora.

Sekretarz, słysząc to podejrzenie, zaczął płakać i wszelkimi siłami starał się je rozproszyc.

Radca przybrał minę poważniejszą, a ponieważ jego przyjaciel nieustannie dowodził, że wszystko odbyło się tak właśnie, jak on to opowiedział, rzekł wreszcie:

— Słuchaj, im bardziej rozmyślam nad tym, co mi tu opowiadasz o złotniku i starym Żydzie, z którymi całą noc przepędziłeś na pijaństwie, wbrew swoim trzeźwym i skromnym obyczajom, tym bardziej zdaje mi się pewnym, że ów Żyd to mój stary Manasse, a złotnik — to zapewne Leonard, który czasami bywa w Berlinie. Nie czytałem tyle książek, co ty, ale to nie jest konieczne, aby wiedzieć, że ci dwaj twoi nieznajomi, są to ludzie prości i poczciwi, którzy nie uprawiają żadnych sztuk czarnoksiężskich. Dziwię się, jak ty, przy swojej znajomości prawa, zapominasz o tym, że wszelka operacja magiczna jest surowo zakazana i że tu w Berlinie rząd nie ścierpiałby żadnego czarownika. Słuchaj, kochany kolego, nie chcę przystać na podejrzenie, jakie budzi się we mnie, ale mimo woli przypuszczam, że się chcesz wycofać z małżeństwa z moją córką i wymyśliłeś sobie całą tę fantasmagorię³⁶, aby móc mi powiedzieć:

— Drogi radco, musimy się rozłączyć, bo jeżeli się z twoją córką ożenię, to diabeł ukradnie mi nogi i grzbiet mi rozszarpie. Źle by było z twojej strony, gdybyś mnie chciał zwieść w ten sposób.

To nowe podejrzenie wyprowadziło sekretarza z równowagi. Ze łzami w oczach przysięgał, że kocha pannę Albertynę miłością nieskończoną; że jak Leander³⁷, jak Troilus³⁸

³⁶*fantasmagoria* — iluzja, złudzenie. [przypis edytorski]

³⁷*Leander* (mit. gr.) — kochanek poświęconej bogom Hero, co noc przepływał dla niej cieśninę Hellespont, kierując się na zapalaną przez nią lampę; utonął pewnej burzliwej nocy, gdy lampa zgasła. [przypis edytorski]

³⁸*Troilus* (mit. gr.) — książę Troi, syn Priama, zakochany w Kressydzie, symbol wierności. [przypis edytorski]

umarłby dla niej i przystałby na wszelkie męczeństwo, nie wyrzekając się nigdy swego uczucia.

Gdy Tussman powtarzał swe zaklęcia, uderzono we drzwi i stary Manasse wszedł do pokoju. Zaledwie Tussman go zobaczył, krzyknął:

— Ojcie niebieski! Toż to ów stary Żyd, co robił sztuki złota z czarnej rzodkwi. Drugi czarownik pewnie jest niedaleko.

Mówiąc te słowa, miał się ku drzwiom, aby uciec. Radca go zatrzymał i mówi:

— Obaczmyż, co on nam powie. — Po czym, zwracając się do Manassego, powtórzył mu opowiadanie Tussmana. Manasse w sposób szczególny uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie wiem, czego ten pan sobie życzy; przyszedł wczoraj wraz ze złotnikiem Leonardem do winiarni, gdzie piłem spokojnie szklankę wina po ciężkiej pracy całodziennej; pił nad miarę tak, że nie mógł ustać na nogach i wyszedł chwiejąc się niepewnie.

— Widzisz, mój miły! — zawołał radca. — Mówiłem ci, że wszystkie te zdarzenia pochodzą z twego przekłętą pijaństwa, z którego musisz się poprawić, jeżeli chcesz poślubić moją córkę.

Biedny sekretarz, zniweczony tym zarzutem niezasażonym, padł nieruchomo na fotel, zamknął oczy i szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Oto, co się z nimi dzieje — rzekł radca — piją przez całą noc, a potem są bez siły i bez rozumu.

Pomimo wszelkich zapewnień Tussman musiał pozwolić, że mu głowę obwiązano ręcznikiem i że go dorożką odwieziono do domu.

— Cóż nowego? — zapytał radca starego Żyda.

Manasse przybrał minę uśmiechniętą i odparł, że radca ani przypuszcza, jakie szczęście go czeka.

Wobec nalegań radcy Żyd powiedział, że jego siostrzeniec Benjamin Dümmerl, młodzieniec piękny, posiadacz pół miliona, odznaczony przez dwór wiedeński tytułem barona dla usług, jakie mu oddał, wrócił świeżo z Włoch, że gorąco się zajął panną Albertyną i prosi o jej rękę.

Często widać młodego barona w teatrze, gdzie się ukazuje w pierwszej łoży; jeszcze częściej bywa na koncertach. Każdy wie, że jest wysoki, chudy jak szczapa, że na żółtej twarzy ma włosy kędzierzawe i brodę czarną, że zawsze jest ubrany według najdziwniejszej mody krawców angielskich; mówi wielu językami akcentem niemieckim, rzępoli na skrzypcach, dudni na fortepianie, kuje nędzne wiersze, sądzi malarstwo bez smaku i znajomości, udaje dowcipnego i w głupocie swej wyrokuje o wszystkim; słowem, według opinii ludzi rozsądnych, jest to figura nie do wytrzymania. Nadto, pomimo wielkiej fortuny, myśli tylko o gromadzeniu pieniędzy i ci nawet, co zazwyczaj plackiem padają wobec bogatych, uciekają od niego.

Radcę w pierwszej chwili olśniło pół miliona siostrzeńca Manassego; ale wnet przyszły mu na myśl rozmaite przeszkody, czyniące proponowany mu związek — niemożliwym.

— Mój drogi Manasse — rzekł — zapominasz, że twój szanowny siostrzeniec jest starej wiary³⁹ i że...

— Ach, cóż to znaczy? — odparł Żyd. Mój siostrzeniec jest zakochany w córce pana radcy; chce ją uszczęśliwić a parę kropel wody nie przestraszy go. Pomyśl o tym interesie, panie radco; za parę dni przyjdę z moim baronkiem po odpowiedź ostateczną.

Manasse się oddalił.

Radca dalej rozważał. Ale pomimo chciwości i słabości charakteru nie mógł się zdecydować na małżeństwo swej córki z tym Żydem. W porywie lojalności postanowił dotrzymać słowa staremu koledze.

ROZDZIAŁ IV

W jakiś czas po zaznajomieniu się z Edmundem w ogrodzie botanicznym, Albertyna zauważyła, że portret ojca zawieszony w jej pokoju był zupełnie niepodobny i namalowany bardzo nieosobliwie. Wykazała panu radcy, że w istocie był on daleko młodszy i przystojniejszy, niż go wyobraził malarz; ganiła ponury wyraz twarzy, przestarzały kostium,

³⁹jest starej wiary — wyznaje judaizm. [przypis edytorski]

Pijaństwo

Chrzest

Portret

którym portrecista przybrał Melchiora; ganiła bukiet róż, trzymany w palcach, ozdobionych pierścieniami diamentowymi.

Tak długo przemawiała, że radca w końcu sam zniecierpliwił swój portret i nie rozumiał, jakim sposobem niezręczny artysta mógł do tego stopnia wykrzywić jego miłą osobę; im bardziej obserwował portret, tem bardziej się w nim budził wstręt do tej ordynarnej roboty. Wreszcie kazał go zdjąć i pomieścić na strychu.

Albertyna uważała, że portret na lepsze miejsce nie zasługuje; jednakże tak nawykła widzieć w swym pokoju twarz ojca, że ta naga ściana burzyła spokój jej serca. Nie było innego środka, jak raz jeszcze zamówić portret kochanego ojca i poprosić o to umiejętnego artystę, a nie masz teraz lepszego malarza, niż młody Edmund, który wykonał tyle dzieł znakomitych.

— Córkó moja, córkó — zawołał radca. — Ci młodzi artyści są tak pełni dumy i tak się cenią, że za najmniejszą pracę nie lękają się żądać sum niesłychanych.

Albertyna zapewniła, że Lehsen pracował raczej przez zamilowanie, niż z konieczności i nie będzie zbyt wymagający. Słowem tak przekonała starego, że radca postanowił zwrócić się do młodego malarza.

Można sobie wyobrazić radość, z jaką Edmund przyjął zrobioną mu propozycję i jakiego doznał uczucia, gdy się dowiedział, że to Albertyna sama namówiła ojca, aby go wybrał dla tego portretu. Naturalna więc rzecz, że widząc niepokój radcy co do wymaganej ceny, Edmund zawołał, że nie chce żadnego wynagrodzenia, gdyż czuje się aż nadto szczęśliwy, że będzie mógł użyć swych pędzli do malowania człowieka tak wybitnego, jak pan radca Voswinkel.

— Wielki Boże — rzekł zdumiony radca — cóż to ja słyszę, drogi panie Edmundzie? Jak to, żadnego wynagrodzenia! Nawet fryderyksdora⁴⁰ za płótno i farby?

Edmund opowiedział z uśmiechem, że to drobnostka, o której nie ma potrzeby mówić.

— Ale — rzekł radca głosem słodkawym — pan może nie wie, że tu idzie o portret wielkości naturalnej?

— Nic to nie znaczy — odparł Edmund.

Na te słowa radca rzucił się w ramiona młodego malarza i ze łzami rozrzewnienia w oczach mówił:

— Ojciec Niebieski! Więc jeszcze są na tym złym świecie dusze tak szlachetne i tak podniosłe! Dajesz mi swoje cygara, potem robisz mój portret! Jesteś doskonałym młodzieńcem, albo, by rzec lepiej, jesteś człowiekiem podniosłym. W tobie żyje cnota i poczciwość niemiecka dawnych czasów, o czym mówią tradycje. Ale wierz mi, choć jestem radcą i choć noszę się po francusku, potrafię ocenić szlachetność twego ducha i mogę się pokazać nie mniej szlachetnym jak ty, Edmundzie!

Zręczna Albertyna przewidziała, co się stanie. Jej zamiary się urzeczywistniły. Radca bez wytchnienia wysławiał młodzieńca i jego bezinteresowność. Mówił, że młodzi ludzie, a zwłaszcza malarze, mają w umyśle coś fantastycznego i romantycznego, z czego wynika, że tyle wartości przypisują kwiatom powiędłym, wstążkom noszonym przez młodą pannę lub jakiejś robotce, wykonanej ładnymi jej rączkami. Pozwolił Albertynie haftować dla Edmunda małą sakiewkę, do której miałyby dodać loczek swoich jasnych włosów; wystarczyło to, aby uszczęśliwić młodego artystę, a radca zobowiązał się całą sprawę objaśnić sekretarzowi Tussmanowi.

Albertyna, która jeszcze nic nie wiedziała o projektach swego ojca, nie rozumiała, dlaczego ten mówił o Tussmanie i nie zwróciła na to uwagi.

Tegoż wieczora Edmund kazał przynieść do domu radcy stawidło⁴¹ i farby, i nazajutrz zaczęto pierwsze posiedzenie.

Prosił radcę, aby ten uniósł się myślą w najszcześniejszy moment swego życia, jak na przykład kiedy jego nieboszczka żona przysięgła mu wieczną miłość, albo kiedy przyszła na świat Albertyna, albo kiedy zobaczył naraz⁴² przyjaciela, którego miał za utraconego...

⁴⁰fryderyksdor (z fr. *le Frédéric d'or*) — złota moneta pruska, będąca w obiegu w okresie 1741–1855. [przypis edytorski]

⁴¹stawidło — tu: sztaluga. [przypis edytorski]

⁴²naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

— Stój! — zawołał radca. — Mniej więcej trzy miesiące temu otrzymałem list z Hamburga, donoszący mi, że wygrałem znaczną sumę na tamtejszej loterii. Z otwartym listem w rękę pobiegłem do swej córki: nigdy nie miałem słodszy momentu w życiu. Wybierzmy ten moment i aby to było jak najoczywistsze dla wszystkich, wezmę ten list i tak go trzymać będę w rękę, jak go trzymałem wówczas.

Edmund zmuszony był malować radcę z tym listem, na którym wyraźnie czytano: „Mam zaszczyt zawiadomić WPana, że... itd.”.

Na małym stoliku, postawionym obok, radca położył kopertę, na której był napis:

Edmund miał nie zapomnieć w obrazie swoim odtworzyć tej koperty wraz ze stemplem pocztowym. Wymalował człowieczka tłuściutkiego, jowialnego⁴³, dobrze ubranego, który miał niejaki podobieństwo z radcą, tak, że czytając adres listu nie omyliłbyś się nigdy co do osoby, wystawionej⁴⁴ na tym portrecie.

Radca był zachwycony.

— Widać z tego — mówił — jak umiętny artysta zręcznie uchwyci to, co w fizjonomii⁴⁵ jest najprzyjemniejszego i z portretu umie zrobić obraz historyczny.

Ilekoć teraz spoglądał na swe oblicze, przypominał sobie szczęśliwy dzień, w którym wygrał na loterii i przybierał uśmiechnięty wyraz na twarzy rozlany.

Zanim Albertyna wypowiedziała to życzenie, radca prosił artystę, aby namalował także portret córki. Edmund natychmiast zabrał się do roboty; ale ten portret nie postępował tak szybko i nie udawał się tak dobrze, jak portret ojca.

Edmund rysował i ścierał, rysował znowu, zabierał się do malowania, zmieniał postawę. Już to światło było zbyt błyszczące, już to zbyt ciemne, tak że radca wreszcie stracił cierpliwość i zaprzestał bywać na posiedzeniach.

Edmund przychodził pracować rano i wieczór, a jeżeli portret mało co posuwał się naprzód, to wzamian za to stosunki młodego malarza z Albertyną z dnia na dzień lepiej się utrwały.

Niewątpliwie, drogi czytelniku, doświadczyłeś sam na sobie, że kto jest zakochany, ten, aby więcej siły nadać swoim zakłębom, przemówieniom i westchnieniom, musi brać za rękę tę, którą kocha, przyciskać ją do serca i całować. Można powiedzieć, że jakiś pierwiastek elektryczny pociąga usta ku ustom i że ten pierwiastek objawia się w słodkich ogniach pocałunku. Nie było też nic dziwnego, że Edmund dość często opuszczał swoje malowidło, aby użyć tego serdeczniejszego środka rozmowy.

Pewnego dnia był z Albertyną około okna i aby dać, jak powiedzieliśmy, więcej wagi swoim słowom, nieustannie zbliżał do ust rękę panny.

W tej samej godzinie i w tym samym momencie sekretarz Tussman przechodził koło domu radcy, niosąc w kieszeni *Mądrość polityczną* i inne książki w pergamin oprawne, a łączące przyjemność z pożytkiem.

Choć według zwyczaju posuwał się w skokach, gdyż zbliżała się godzina, o której miał być w biurze, zatrzymał się na chwilę i rzucił spojrzenie ku oknu swej narzeczonej.

Zobaczył wtedy, niby w obłoku, Edmunda i Albertynę: nie mógł jasno ich rozróżnić, ale czuł, że mu serce uderza, nie wiadomo dlaczego. Niepokój osobliwy wywołał w nim postanowienie niespodziane, aby wstąpić do radcy w godzinie niezwykłej i iść wprost do Albertyny.

W chwili, gdy wchodził do pokoju, Albertyna mówiła bardzo wyraźnie:

— Tak, Edmundzie, kochać cię będę wiecznie — wiecznie! — I wymawiając te słowa, przyciskała młodzieńca do łona, a snop iskier rozlewał się z pierwiastku elektrycznego, o którym była mowa.

Sekretarz prywatny machinalnie ruszył naprzód; stanął nieśmiały, nieruchomy — w środku pokoju — jakby uderzony katalepsją⁴⁶.

W upojeniu radości zakochani nie słyszeli głośniego skrzypienia butów sekretarza ani też zgrzytu drzwi, które się otwarły.

Naraz falsetem przemówił głos:

— Ależ panno Albertyno!

⁴³jowialny — pogodny, żartobliwy. [przypis edytorski]

⁴⁴wystawiony — dziś: przedstawiony. [przypis edytorski]

⁴⁵fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

⁴⁶katalepsja — zeszytywnienie mięśni, zaburzenie ruchu ciała. [przypis edytorski]

Kochankowie przerażeni rozłączyli się. Edmund pobiegł ku stawidłu, Albertyna zaś siadła na fotel, na którym miała siedzieć dla pozowania.

— Ależ, panno Albertyno — rzekł, tchu nabierając, radca — co ty robisz? Co ty sobie myślisz? Naprzód tańczysz walca z młodzieńcem, którego nie mam zaszczytu znać, tańczysz o północy w Ratuszu w taki sposób, że ja tracę rozum; potem w jasny dzień znajduję cię u okna... O, sprawiedliwy Boże, jest-że to zachowanie uczciwe dla narzeczonej?

— Któż tu jest narzeczoną? — zawołała Albertyna. — O kim pan mówi, panie sekretarzu prywatny? Odpowiadaj.

— O, Stwórcu nieba — rzekł z jękiem Tussman — pytasz mnie jeszcze, szlachetna panienko, o kim ja mówię? O kimże, jeżeli nie o pani? Czyliż nie jesteś moją tkliwą, czcigodną narzeczoną? Twój szanowny ojciec czyż mi nie obiecał tej pięknej rączki, tak białej i tak milej do całowania?

— Panie sekretarzu — odparła rozdrażniona Albertyna — albo już pan pił w szynkowni⁴⁷, którą zbyt często odwiedzasz, o ile mam wierzyć ojcu, albo też jesteś ofiarą szczególnego obłądu. Niepodobna⁴⁸, by mój ojciec pomyślał nawet o tym, by ci ofiarować mą rękę.

— Droga panno Albertyno — odparł sekretarz — pomyśl sobie: znasz mnie od dawna, czyż nie byłem zawsze człowiekiem trzeźwym i rozważnym, i czy mógłbym naraz oddać się pijaństwu i szaleństwu? Droga panno, zamknę oczy, zamilczę o tym, co widziałem, zapomnę o wszystkim; ale pomyśl, że mi dałaś swe przyzwolenie dziś o północy w starym Ratuszu i chociaż tańczyłaś walca tej nocy z tym młodym człowiekiem, to jednak...

— Ależ panie — zawołała Albertyna — pan bredzi jak człowiek, który uciekł z domu obłąkanych! Idź sobie — boję się pana! Idź sobie, mówię, i daj mi pokój.

Oczy biednego Tussmana zapełniły się łzami.

— O, Boże sprawiedliwy! — szeptał — Widzieć się traktowanym w ten sposób przez swoją zachwycającą narzeczoną! Nie, ja nie odejdę! Zostanę, póki nie oddasz sprawiedliwości mojej nędznej osobie.

— Wynoś się pan! — zawołała głucho Albertyna, uchodząc na drugi koniec pokoju.

— Nie — odparł sekretarz. Podług mądrych przepisów Tomasiusa powinienem zostać i zostanie tu, dopóki...

Tu rzucił się w pościgu za Albertyną. Edmund, szalonym gniewem przejęty, suwał tymczasem pędzłami po swym płótnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać:

— Przekłęty szatanie! — zawołał i poskoczywszy ku Tussmanowi, dwa lub trzy razy pociągnął po jego twarzy pędzlem, przesyconym zielonymi kolorami, po czym otworzył drzwi i gwałtownym uderzeniem wyrzucił go za drzwi jak strzałę.

Radca wracał do siebie w chwili, kiedy jego stary kolega, tak poplamiony farbami, wpadł mu w ramiona.

— Co za twarz! — zawołał. — Co ci się stało?

Sekretarz, zdumiony jeszcze tylu zdarzeniami, opowiedział mu w przerywanych słowach, jak go potraktowała Albertyna i jak go obraził Edmund.

Radca, zasmucony i rozdrażniony, wziął go za rękę, wprowadził go z powrotem do pokoju Albertyny i zawołał do córki:

— Cóż to ja słyszę? Czego się dowiaduję? W takiż to sposób traktuje się narzeczonego?

— Narzeczonego! — zawołała przerażona panna.

— A więc tak, twego narzeczonego — mówił dalej radca. — Nie wiem, dlaczego zdajesz się tak wzburzona sprawą, którą ja zdecydowałem od dawna. Mój stary przyjaciel jest twoim narzeczoną i za parę tygodni odprawimy weselo twoje zaślubiny.

— Nigdy! — zawołała Albertyna. — Nigdy nie wyjdę za pana sekretarza tajnego! Jakże mogłabym kochać tego starca?

— Cóż ty mówisz o kochaniu, cóż ty mówisz o starcu? Tu jest sprawa nie miłości, ale małżeństwa. Co prawda, mój towarzysz nie jest już lekkim młodzianem, doszedł on,

⁴⁷szynkownia — daw. podrzędna restauracja. [przypis edytorski]

⁴⁸niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

tak jak ja, wieku, który słusznie nazywa się najlepszym. To chłopiec uczciwy, skromny, wykształcony, miły, a przede wszystkim mój kolega.

— Nie! — rzekła Albertyna, łkając gwałtownie. Ja go nie znoszę, ja go nie cierpię, ja czuję wstręt do niego. O, mój Edmundzie!...

Mówiąc te słowa, panna, niemal zemdlona, upadła w ramiona Edmunda, który ją przycisnął do serca.

Radca przetarł sobie oczy, jakby spostrzegł jakieś zmory i zawołał:

— Czy to możliwe? Co ja widzę?

— Tak — rzekł sekretarz płacziwie — panna Albertyna zdaje się bardzo mało troszczyć o mnie i przeciwnie objawia nader żywą skłonność do tego młodego malarza; nie waha się go całować, gdy mnie biedakowi odmawia tej ręki, na której bym chętnie pomieścił pierścień zaręczynowy.

Radca chciał wyrwać Albertynę z ramion Edmunda, ale ten zawołał, że nie puści jej nigdy, choćby miał za to życiem zapłacić.

— Dobrze — powiedział radca z goryczą — dobrze, mój paniczu, teraz wiem, skąd wypływała twoja bezinteresowność. Chciałeś się dostać do mego domu i uwieść moją córkę! Czy sądzisz, że mógłbym oddać swą córkę tak mizernemu nędzarzowi, bazgraczowi?

Rozdrażniony tymi obelgami Edmund porwał swoją podpórkę i podniósł do góry, gdy naraz zabrzmiał u drzwi potężny głos Leonarda:

— Zatrzymaj się, Edmundzie! Żadnych gwałtów! Voswinkel szaleje; oprzytomniej niebługo.

Radca, przerażony tem nagłym zjawieniem, odpowiedział z kąta, w którym się ukrył:

— Nie rozumiem, czego pan tu sobie życzy!

Sekretarz na widok złotnika ukrył się za sofą i szeptał, pełny niepokoju:

— O, Boże niebieski! Czuwaj nad sobą, kochany radco! Nic nie mów, stary kolego! Wielki Boże, toż to profesor, to straszliwy inicjator balu na ulicy Szpandawskiej.

— Zbliź się, Tussman — rzeki złotnik ze śmiechem — zbliź się, niczego się nie lękaj. Dość jesteś ukarany za swe szaleństwo, że się chciałeś ożenić, bo przez całe życie zachowasz twarz na zielono!

— Wielki Boże! — krzyknął sekretarz, tracąc władzę nad sobą — przez całe życie twarz na zielono! Co o tym ludzie powiedzą? Co o tym powie Jego Ekscelencja pan minister? Czyż nie będzie sądził, że ja przez jakąś głupią próżność sam się tak umalowałem? Jestem człowiek zrujnowany! Utracę posadę, bo Państwo nie może trzymać sekretarza kancelarii tajnego z twarzą zieloną! O, jakże jestem nieszczęśliwy!

— Dalej, dalej! — odparł złotnik — Nie lamentujże tak srodze. Jest jeszcze ratunek, jeżeli się zgodzisz być rozsądnym i jeżeli się zrzekniesz idei poślubienia Albertyny.

— To być nie może... to być nie powinno — wykrzyknęli naraz sekretarz i radca.

Złotnik rzucił w obu płomiennym wzrokiem; już miał gniewem wybuchnąć, gdy naraz drzwi się otworzyły i stary Manasse wszedł ze swym siostrzeńcem, baronem Benjaminem Dümmerlem. Baron poszedł wprost ku Albertynie, która go nigdy w życiu nie widziała i rzekł, biorąc ją za rękę:

— Oto jestem, panno Albertyno! Przychodzę sam rzucić się pani do nóg, to znaczy, porozumiejmy się, baron Dümmerl przed nikim do nóg nie upada, nawet przed Jego Cesarską Mością. Przychodzę prosić o pocałunek.

Co rzekłszy, podszedł ku niej blisko i pochylił głowę. W tej samej chwili odbyła się przemiana, która, z wyjątkiem złotnika, wywołała u wszystkich zdumienie:

Nos barona Benjaminą wydłużył się naraz tak daleko, że omal nie uderzył w ścianę. Benjamin cofnął się o parę kroków i nos się zmniejszył; zbliżył się do Albertyny, znów nos stał się kolosalny — rzekłszy ruch trombonu.

— Przekłęty czarownik! — zawołał Manasse, rzucając radcy sznur. Chwyć pan ten sznur, zwiąż nim złotnika, wyciągnij go na podwórze i wszystko się skończy!

Radca wziął sznur, ale zamiast go rzucić w złotnika, trafił w Żyda i szyję mu obwiązał i natychmiast obaj zaczęli unosić się w górę od podłogi do powały⁴⁹ i spuszczać się z powały na podłogę, gdy nos Benjaminą rósł bezustannie, a Tussman śmiał się jak obłąkany.

⁴⁹powala — warstwa desek służąca za sufit. [przypis edytorski]

— Teraz — rzekł Manasse zatrzymawszy się — teraz zabierzmy się do roboty. I przeszukawszy kieszeń, wyjął z niej wielką mysz, która się rzuciła na złotnika; ale ten ją uderzył złotą igłą i mysz zniknęła, wydając pisk żalospny.

Manasse podniósł pięść przeciw radcy i krzyknął w gniewie:

— Melchiorze, spisek zrobiłeś przeciw mnie wraz z tym nędznym czarownikiem, którego wciągnąłeś do swego domu. Ale będziesz przeklęty wraz z całym swoim potomstwem i będziecie wytępieni, jako pisklęta opuszczonego ptaka; trawą zarośnie twoja siedziba, a wszystkie twe przedsięwzięcia będą jako sen głodnego, któremu się roi, że się nasycy, a który się budzi, trawiony brakiem jada. Dałeś zamieszka w twoim domu i pochłonie twoje dobro. Obdartymi lachmanami przybrany, żebrać będziesz u progu synów tego ludu bożego, którymi gardzisz, a którzy cię odepchną jako psa chorego na nosaciznę. Przeklęty, przeklęty bądź, radco Melchiorze Voswinkel!

Rzekłszy te słowa, szybko opuścił izbę wraz ze swym siostrzeńcem.

Albertyna stała pełna trwogi, głowę oparłszy o łono Edmunda; złotnik się przybliżył do młodej pary i rzekł z uśmiechem:

— Niech was te szaleństwa nie wytrącają z równowagi. Wszystko będzie dobrze, odpowiadam wam za to; ale trzeba, abyście się rozłączyli, zanim radca i sekretarz oprzytomnieją z przerażenia. — I odszedł wraz z Edmudem.

ROZDZIAŁ V

Radcę bardziej uderzyły klątwy Manassego niż czarnoksięskie sztuczki złotnika. Klątwa ta była istotnie okropna, gdyż zapowiadała radcy obecność Dalesa.

Nie wiem, drogi czytelniku, czy słyszałeś o tym, co Żydzi nazywają Daless.

Żona pewnego biednego Żyda, tak mówi Talmud⁵⁰, znalazła raz na strychu swego domku człowieka zupełnie nagiego, wyschniętego jak szkielet bez ciała, który ją prosił, by udzieliła mu schronienia i posiłku. Kobieta z trwogą zeszła po drabinie i mówi do męża:

— Człowiek nagi i głodny wszedł do naszego domu i prosi, by mieć nad nim litość. Ale jakże karmić tego obcego, gdy my sami z takim trudem zarabiamy na swe nędzne życie?

— Pójdę na górę — rzekł mąż — i pomyślę o środkach, by się go pozbyć. „Po co — rzekł obcemu — przyszedłeś schronić się u mnie, który jestem biedny i pozbawiony możliwości karmienia ciebie? Wstań i idź do domu bogatego, gdzie znajdziesz obfitą żywność i wspaniałe uczyty”.

— Jak to — odparł nieznajomy — chcesz mnie wygnąć z kryjówki, którą znalazłem? Widzisz, że jestem nagi; nie mógłbym tak wejść do domu bogatego. Każ mi zrobić odpowiednie ubranie, a ja cię opuszczę.

Lepiej, pomyślał Żyd, użyć tej odrobiny, jaka mi została, dla usunięcia stąd tego człowieka, niż go tu zatrzymać i widzieć, jak pożera wszystko, co zarabiam z takim trudem. Zabił ostatnie cielę, którym myślał długo jeszcze żywić siebie i żonę, i kupił dla nieznajomego ubranie. Ale gdy poszedł do niego z ową szatą, człowiek ten, rano jeszcze tak mały i wychudły, stał się wielki i mocny, i ubranie było dla niego za ciasne. Biedny Żyd wpadł w rozpacz na widok tej przemiany, a nieznajomy powiada:

— Wyrzecz się szalonej myśli, że mógłbyś mnie stąd wygnąć, gdyż dowiedz się: jestem Daless.

Biedny Żyd załamał ręce i zaczął wydawać okrzyki rozpaczny.

— Boże moich ojców — zawołał — jestem różgą gniewu Twego ukarany. Jeżeli ty jesteś Daless, to już nie odejdziesz i rosnać będziesz póty, póki nie pożresz wszystkiego w moim domu.

Daless — to nędza, która wszedłszy raz gdziekolwiek, już tego domu nie opuści i coraz bardziej się rozrasta.

Jeżeli radca bał się przekleństwa Manassego, lękał się też starego Leonarda, który miał tyle czarów na usługi i którego widok budził szczególną trwogę. Ponieważ nie mógł napaść na tych dwóch ludzi, cały jego gniew spadł na Edmunda, któremu przypisywał wszystko, co się stało. Albertyna jeszcze powiększyła jego irytację, oświadczając, że kocha

⁵⁰Talmud — w judaizmie komentarz do *Tory* (tj. do pierwszych pięciu ksiąg *Biblii*). [przypis edytorski]

młodego malarza nade wszystko i nie zgodzi się nigdy wyjść za mąż za pedanta Tussmána ani za nieznośnego barona.

Radca napisał do Edmunda list, w którym całą swoją żołą wytoczył i ostatecznie zakazał mu na zawsze przestępować próg swego domu.

Wieczorem Leonard, odwiedzwszy według zwyczaju młodego artystę, znalazł go w niezmiernej rozpacz.

— I cóż teraz — wołał Edmund — cóż mi z twojej pomocy, cóż mi z tego, żeś oddalił mych współzawodników? Twoje sztuki magiczne rzuciły przestrasz w szędzie i postawiłeś mi na drodze przeszkody nie do przebycia. Z sercem rozdartym opuszczę kraj, pojedę do Rzymu.

— A więc — rzekł złotnik — działając w ten sposób uczynisz właśnie to, czego pragnąłeś. Przypomnij sobie, że gdyś mi po raz pierwszy mówił o swej miłości do Albertyny, powiedziałem ci, że według mnie młody artysta powinien być zakochany, ale nie natychmiast myśleć o małżeństwie. Przedstawiłem ci wtedy półzartem przykład młodego Sternbalda; jeżeli chcesz zostać godnym chwały malarzem, wyrzecz się wszelkiej myśli o małżeństwie. Jedź do ojczyzny sztuk, studiuj z zapalem pomniki — a wtedy osiągniesz talent rzeczywisty, wykonawszy dzieło, które ci zdoła tutaj wyrobić imię.

— Ach — odparł Edmund — jakież popełniłem szaleństwo, że ci powierzył swe uczucia! Widzę, że ty, od którego czekałem skutecznej pomocy, że ty właśnie działasz przeciw mnie i masz przyjemność w burzeniu moich najśrodszych nadziei.

— Młodzieńcze — rzekł złotnik — pomiarkuj swe wyrażenia; bądź mniej gwałtowny i pomyśl, żeś za mało doświadczony, aby przeniknąć moje zamiary. Ale ja ci przebaczam przez szacunek dla twojej miłości.

— Gdybym miał możliwość zaślubienia Albertyny — odparł malarz — gdybym był z nią zaręczony, pojechałbym do Włoch; przepędziłbym tam rok jeden studiów i powróciłbym rozradowany do tej, którą kocham.

— Jak to, Edmundzie? — zawołał złotnik — Czyż to naprawdę twój projekt?

— Niewątpliwie — odpowiedział malarz. — Miłość, jaką czuję dla Albertyny, nie zagasła we mnie zapалу do sztuki.

— Czy możesz mi dać słowo — rzekł Leonard — że gdy przyrzeczoną ci będzie ręka Albertyny, natychmiast pojechałbyś do Italii?

— Tak, to jest moje postanowienie i wykonam je, co bądź się stanie.

— A zatem — rzekł złotnik wesoło — nabierz odwagi. To postanowienie zapewnia ci narzeczoną. Daję ci słowo, że za parę dni Albertyna będzie ci zaręczona. Jestem w możności to uczynić, nie wątp w to.

Radość i zapal błysły w oczach Edmunda i złotnik się oddalił, pozostawiając swego młodego przyjaciela w najrozkoszniejszych oczekiwaniach. —

W oddalonej części parku sekretarz kancelarii siedział pod wielkim drzewem, jak rycerz raniony, który opowiada swe cierpienia niewiernym podmuchom jesieni.

— O, Boże sprawiedliwy! — wołał — Nieszczęśliwy sekretarzu tajny, czymże to zasłużyłeś na obelgi, jakich doznałeś?

Czyż Tomasz nie mówi, że małżeństwo nie jest bynajmniej przeszkodą ku osiągnięciu mądrości? A przecież, odkąd zacząłeś myśleć o małżeństwie, utraciłeś prawie wszystką jasność swej inteligencji! Z czegoż wynika ten wstręt, jaki miła panna Albertyna odczuwa względem twojej osoby, obdarzonej tak chwalebnyymi zaletami? Czy jesteś politykiem, który żenić się nie powinien, czy też jurystą⁵¹, który według zasad Kleobula uważa za swój obowiązek bić żonę, ilekroć ta jakiś błąd popełni? O sprawiedliwe nieba, co za klęska! Czemu, drogi sekretarzu tajny, musisz być w wojnie otwartej przeciw czarnoksiężnikom, którzy twą znaną twarz biorą za płótno i mażą ci ją bezwstydnym pędzlem, nieprzyzwolicie i haniebnie! O, to straszliwe nieszczęście! Miałem jeszcze ufność w mego przyjaciela Strecciusa, wielkiego chemika; ale wszystkie jego wysiłki były bezużyteczne. Im bardziej twarz myję wodą, którą mam od niego, tym bardziej staję się zielony, choć ta zieloność zmienia ciągle ton i moja twarz kolejno wyobraża barwy wiosny, lata i jesieni. Tak, ten fatalny kolor doprowadzi mnie do zniszczenia i jeżeli mnie zima nie pobiele, to żywot mój skończy się! Oddaję się rozpacz i rzucam się do sadzawki.

⁵¹jurysta (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]

Tussman słusznie bardzo żalił się w ten sposób. Barwa jego twarzy nie była wcale zwykłym kolorem: był to rodzaj malowidła wciśniętego w skórę. We dnie nie miał odwagi wychodzić inaczej, jak wciskając kapelusz na czoło i zakrywając sobie twarz chustką; wieczorem pędził po ulicach galopem, gdyż lękał się naraz szyderstwa dzieci i spotkania jakiego urzędnika ze swego biura, w którym się nie pokazywał pod pozorem choroby.

Zdarza się często, że odczuwamy silniej nasze cierpienia w milczeniu nocy, niż wśród wrzawy dnia; a im gęstsze były chmury, im żałośniej wicher jesienny wzdychał w lesie, tym Tussman mocniej odczuwał ciężar swej nędzy. Straszliwa myśl, by położyć koniec swemu nieszczęsnemu żywotowi i rzucić się w sadzawkę, opanowała go z taką mocą, że ją uważał jako głos przeznaczeń.

— Tak — zawołał drżącym głosem, wstając z pod drzewa — tak, biedny sekretarzu tajny, oto koniec twój nadszedł, żaden Tomasius nic ci nie pomoże. Giń, dobry Tussmanie! Żegnaj, okrutna Albertyno! Nie zobaczysz już nigdy narzeczonego, któregoś odepchnęła tak bezlitośnie.

Rzucił się w stronę sadzawki, którą przy mdłym oświeceniu zmierzchu widział w pobliżu i zatrzymał się u brzegu. Myśl o bliskiej śmierci zapewne pomieszała mu rozsądek, gdyż zaczął śpiewać ten refren piosenki angielskiej: „Zielone są łąki, zielone są łąki!” Potem rzucił w wodę *Mądrość polityczną, Podręcznik dworski i Sztukę przedłużenia życia* Hufelanda. Zamierzał teraz iść śladem swoich ukochanych książek, gdy poczuł, że go zatrzymuje naraz jakieś mocne ramię.

W tej samej chwili usłyszał głos przeklętego złotnika, który mówił:

— Tussmanie, co robisz? Proszę cię, nie oddawaj się tak swemu szaleństwu!

Sekretarz starał się użyć wszystkich sił, aby się wyrwać z ramion złotnika; mówił mu:

— Panie profesorze, jestem w ostatniej rozpacz i wszystkie moje wahania się kończą. Proszę cię, profesorze, przebac nieszczęsnemu sekretarzowi prywatnemu, który zna wymagania światowe. Jestem zrozpaczony i powiem bez obwijania w bawełnę: chciałbym, aby diabeł cię porwał wraz z twymi wszystkimi czarodziejstwami.

Złotnik puścił sekretarza, który upadł bez duszy na wilgotny trawnik.

Sądząc, że już jest w wodzie, Tussman zawołał:

— O, wiarna śmierci! O, zielona łąko! Żegnaj, panno Albertyno. Żegnaj, czcigodny radco! Nieszczęsny narzeczoney jest pośród żab, które sławią Pana w dni letnie.

— Uważaj, Tussman — rzekł złotnik — tracisz rozum i jesteś w stanie godnym litości. Chciałeś mnie tylko co wysłać do piekła. Co byś rzekł, gdyby ci tu sam diabeł kark złamał?

Tussman jęczał, wzdychał, febra⁵² trzęsła całym jego ciałem.

— Ale — mówił dalej złotnik — ja nie jestem zły i przebaczam ci twoje rozpaczne okrzyki. Wstań i idźmy stąd.

Złotnik pomógł sekretarzowi się podnieść, ten zaś mruczał:

— Jestem w twojej mocy, wielce szanowny profesorze. Z ciałem mym uczyni, co zechcesz, ale oszczędź moją duszę.

— Nie bredź — rzekł złotnik, biorąc sekretarza za ramię i poprowadził go ze sobą. Naraz się zatrzymał i rzecze:

— Jesteś cały zamoczony, pozwól, że ci przynajmniej twarz wytrę. — To mówiąc, pociągnął białą chustką po jego twarzy.

Ujrzawszy poprzez drzewa światła kawiarni Webera, Tussman z przerażeniem zawołał:

— W imię Boga, dokąd mnie prowadzisz? Przez litość, nie idźmy w tłum, nie mogę się pokazać; moja obecność wywołałaby skandal.

— Nie wiem, co znaczy twój wstręt do ludzi. Musisz koniecznie wypić szklanekę ponczu, inaczej z zimna dostaniesz febrę. Choć ze mną.

Na próżno sekretarz lamentował, mówiąc wciąż o swojej twarzy zielonej; złotnik żadnej uwagi nie zwracał na jego słowa i ciągnął go z siłą nieodpartą. Wchodząc do sali i spostrzegłszy parę osób przy stole, Tussman zakrył sobie twarz chustką.

— Po cóż ta przezorność? Masz uczciwe oblicze.

— Ach, Boże! — zawołał sekretarz — ty wiesz, mój czcigodny profesorze, jak to w gniewie — młody malarz pozielenił mi twarz.

⁵²febra (daw.) — gorączka. [przypis edytorski]

— Co za szaleństwo! — odparł złotnik, ciągnąc z siłą sekretarza przed zwierciadło, w którym się odbijało światło lamp.

Tussman spojrział w zwierciadło i wydał okrzyk niespodzianej radości.

Nie tylko okropna barwa zielona, którą go zachlapano, zniknęła, ale twarz Tusmana była pokryta kolorytem żywszym, tak, iż zdawał się odmłodzony. W uniesieniu Tussman podskoczył do góry i zawołał głosem rozrzuwionym:

— Co widzę, dostojny, doskonały profesorze! Tobie zawdzięczam tę szczęśliwość; teraz panna Albertyna, dla której chciałem się utopić w stawie, nie odmówi już mi ręki i za małżonka mię przyjmie. Tak, wyrwałeś mnie z okropnej rozpacz. Jesteś moim zbawcą, moim dobroczyńcą...

— Nie zaprzeczę — odparł złotnik — że ja to ci starłem ten zielony kolor z twarzy i widzisz stąd, że nie jestem ci bynajmniej tak nieprzyjazny, jak, zdaje się, przypuszczałeś. Potępiam tylko szaloną myśl, jaką powziąłeś na skutek propozycji pana radcy, że chcesz zaślubić młodą pannę. Ale nie chcę bynajmniej burzyć twych projektów, chcę tylko radzić ci, abyś nie czynił żadnych starań kolo panny Albertyny, aż do przyszłej niedzieli w południe: wówczas dowiesz się reszty. Jeżelibyś próbował zobaczyć się z nią przedtem, to ci tak każę zatańczyć, że oszalejesz; zmienię cię w żabę, strącę cię na dno sadzawki parkowej, gdzie będziesz siedział do końca życia. Żegnaj. Pewna sprawa wzywa mnie do miasta; nie możesz iść za mną. Do widzenia.

Złotnik słusznie powiedział, że Tussman nie może iść za nim, gdyż oddalił się, jakby miał buty siedmiomilowe. Po chwili wpadł jak widmo do izby pana radcy i surowym głosem powiedział mu: „Dobry wieczór!” Radca, przerażony tym zjawieniem, próbował nabrać ducha i pytał złotnika, po co przybywa do niego tak późno, prosząc go, aby się zechciał wycofać i nie rozpoczynał znów swego kuglarstwa⁵³.

— Oto jacy są ludzie — odrzekł spokojnie Leonard — a zwłaszcza radcy! Odpychają tych właśnie, do których by powinni mieć jak najwięcej zaufania. Grozi ci, drogi przyjacielu, wielkie nieszczęście i śpieszę do ciebie wśród nocy, aby ci dać dobrą radę i odwrócić cios, który może cię złamać.

— O Boże! — zawołał radca wystraszony — czy mi chcesz donieść jeszcze o jakim bankructwie w Hamburgu, w Bremie, w Londynie? Czyż jestem człowiek zrujnowany? O, nieszczęście!

— Nie — odparł złotnik — idzie tu o coś zupełnie innego. Nie chcesz oddać Edmundowi ręki Albertyny?

— Jak to! — zawołał radca — Znów zaczynasz te głupie propozycje? Ja miałbym wydać córkę za jakiegoś żebraka bazgracza?

— A jednak — rzekł złotnik — bardzo dobrze odmalował i ciebie, i twoją córkę.

— Ach, ach! — odsarknął radca — to byłby ładny targ! Córka za dwie malowanki! Odesłałem mu te nędze.

— A więc, jeżeli mu nie dasz Albertyny, Edmund się zemści.

— Chciałbym też wiedzieć, jak ten cygan, ten smarkacz, mógłby się zemścić nad radcą komisyjnym Melchiorem Voswinkellem?

— Powiem ci zaraz, szanowny panie radco. Edmund z lekka twój portret przemaluje. Zamiast uśmiechniętego wyrazu twarzy da ci rysy wykrzywione, minę ponurą, oczy przygaste, wargi obwisłe. Narysuje mocniej zmarszczki na ustach i na czole, i nie zapomni licznych siwych włosów, które ukrywasz tak starannie. Zamiast miłego listu, który cię zawiadamia o wygranej na loterii, da ci do ręki ten, który otrzymałeś wczoraj, a który ci donosi o bankructwie domu Campbell i Sp. Na kopercie napisze: Chybionemu radcy Dworu i t. d....; albowiem przed sześciu miesiącami na próżno się starałeś o uzyskanie tego tytułu. Z twoich kieszeni dziurawych wylatywać będą dukaty, papiery skarbowe, symbol wszystkich strat, jakie cię dotknęły. Portret wystawiony będzie u handlarza obrazów w pobliżu Banku.

— Do tysiąca diabłów! — zawołał radca. — Niechże spróbuje czegoś podobnego. Sądzę i policję zawezwę na pomoc.

— Ale — odparł złotnik z tym samym spokojem — w ciągu kwadransa pięćdziesiąt osób zobaczy ten portret, a w niedługim czasie opowiadać sobie o nim będą w najroz-

⁵³kuglarstwo — żonglerka, magiczne sztuczki. [przypis edytorski]

maitszy sposób w całym mieście! Wszystkie śmieszności, wszystkie głupstwa, jakie ci przypisują, odtworzone będą w daleko żywszej barwie. Ktokolwiek cię napotka, śmiać się będzie z ciebie w oczy i co gorsza, mówić będą wciąż o twoich stratach z powodu bankructwa domu Campbell — i będzie to klęska dla twego kredytu.

— O Boże! — zawołał radca — nędznik jutro o samym świcie musi mi oddać płótno!

— A gdyby ci oddał, o czym wątpię, na cóż ci się to przyda? Wyrzyje cię, jak mówiłem, na płycie miedzianej, odbije w setkach egzemplarzy i roześle do wszystkich wielkich miast handlowych, do Hamburga, do Bremy, do Lubeki, do Londynu.

— Ach, dosyć, dosyć! — zawołał radca. — Powiedz temu człowiekowi, daj mu pięćdziesiąt, a nawet sto dukatów, aby się wyrzekł tej okropnej myśli.

— Ha, ha! — rzekł ze śmiechem złotnik. — Zapominasz, że Lehsen nie potrzebuje pieniędzy, że jego rodzice są zamożni i że ciotka od dawna zabezpieczyła mu fortunę, która wynosi osiemdziesiąt tysięcy dukatów.

— Jak to — zawołał zdumiony radca — osiemdziesiąt tysięcy dukatów?... Słuchaj, panie Leonardzie, mnie się zdaje, że moja Albertyna jest bardzo zakochana w młodym malarzu. Jestem dobrym człowiekiem, tkliwym ojcem rodziny, który nie umie się opierać łzom ani błaganiom; zresztą Edmund mi się podoba, jest to dzielny artysta, a ja jestem wielkim miłośnikiem sztuki. Ten kochany Edmund ma wielkie zalety... osiemdziesiąt tysięcy dukatów!... Tak jest, Leonardzie, z dobroci serca oddaję swą córkę temu wybornemu chłopcu.

— Teraz — przemówił złotnik — muszę ci opowiedzieć zabawną historię. Wracam z parku. Koło wielkiego stawu spotkałem twego starego przyjaciela i kolegę, sekretarza Tussmana, który, zrozpaczony niechęcią Albertyny, chciał się rzucić w wodę. Z wielkim trudem odradziłem mu jego ohydny projekt, mówiąc, że ty ściśle dotrzymujesz słowa i że dzięki swej powadze rodzicielskiej namówisz Albertynę, aby jego rękę przyjęła. Jeżeli cofasz to postanowienie, jeżeli Albertynę wydajesz za Edmunda, biedny sekretarz na pewno popełni samobójstwo. Pomyśl, co za wrzawę wywoła taka rzecz. Każdy uważać cię będzie za zabójcę Tussmana i patrzeć będzie na ciebie z głęboką pogardą. Już cię nikt nie zaprosi na obiad, a kiedy wejdiesz do jakiej kawiarni, by się dowiedzieć, co słyhać nowego, wyrzucą cię za drzwi. Więcej jeszcze, wiadomo, że sekretarz jest bardzo ceniony przez swoich naczelników; jego praca ma dobrą opinię we wszystkich biurach. Jeżeli ludzie uwierzą, że skutkiem twojej niesłowności, skutkiem twojej niestanowczości, doprowadziłeś tego nieszczęśliwca do samobójstwa, to nigdy w życiu już nie będziesz przyjęty nie tylko w domu radcy legacyjnego albo radcy finansowego, ale nawet u najmniejszego urzędnika. Żaden człowiek, z którym dotychczas prowadziłeś jakieś sprawy, nie będzie się tobą zajmował. Od wysokich urzędników aż do najprostszych woźnych, wszyscy będą ci ubliżać i nikt nie zdejmie przed tobą kapelusza. Tytuł radcy komisijnego będzie ci cofnięty; doznawać będziesz poniżenia za poniżeniem, kredyt twój upadnie do szczętu, twoje majątkości będą ze wszech stron szturmowane i chylić się będziesz w dół coraz niżej a niżej, aż w końcu runiesz w nędzę i w hańbę.

— Dość, dość! — zawołał radca — męczysz mnie. Któżby uwierzył, że sekretarz w swoim wieku popełniłby takie szaleństwo? Ale to słuszna rzecz, co bądź się stanie, muszę słowa dotrzymać: inaczej byłbym człowiekiem zgubionym. Tak, to postanowione, sekretarz otrzyma rękę Albertyny.

— Ale zapominasz — rzekł złotnik — o prośbie barona Benjamina i o przekleństwie starego Manassego. Jeżeli wzgardzisz siostrzeńcem tego Żyda, masz w nim straszliwego wroga, wroga, który cię wciągnie we wszystkie swoje spekulacje, który się nie cofnie przed żadnym środkiem, co by ci odebrał kredyt, który korzystać będzie z każdej sposobności, aby ci szkodzić i który nie spocznie, póki cię nie zrujnuje, nie zniszczy, póki Dałes, którego wezwał, nie osiedli się rzeczywiście w twoim domu. Słowem, w jakikolwiek sposób rozporządziłbyś córką, zawsze wpadniesz w ciężkie położenie i oto dlaczego wydajesz mi się człowiekiem nieszczęśliwym i godnym pożałowania.

Radca biegł wzdłuż i wszerek po swoim pokoju, wołając:

— Jestem zgubiony, jestem zrujnowany! O, gdybym przynajmniej nie miał córki! Niech diabeł porwie ich wszystkich, Edmunda, Benjamina i sekretarza!

— No, no — rzekł złotnik — jest jeszcze droga ocalenia.

— Jaka? — zawołał radca, zatrzymując się nagle — Jaka? Podpisuję wszystko.

— Czy widziałeś w teatrze *Kupca weneckiego*⁵⁴? W tej właśnie sztuce nasz aktor Derivient gra okrutnego Żyda, imieniem Shylok, który ma wielką chęć krajać żywe mięso kupieckie.

— Oczywiście, widziałem tę sztukę. Ale do czego to prowadzi?

— Jeżeli znasz *Kupca weneckiego*, musisz pamiętać, że jest tam pewna dziewczyna bogata, Porcja, której ręka została niejako puszczonej w loterię rozporządzeniem testamentu jej ojca. Przynoszą trzy skrzynki i każdy z konkurentów ma jedną z nich wybrać i otworzyć. Ten, co wybiera skrzynkę, w której się mieści portret Porcji — staje się narzeczonym. Uczyni jak ojciec Porcji; powiedz trzem współzawodnikom, że ponieważ wszyscy trzej są ci jednakowo drodzy — powierzasz losom ich żądania. Ten otrzyma rękę Albertyny, który wybierze skrzynkę z portretem panny.

— Co za szczególnie pomysł! — zawołał radca — a gdybym przystał, czy sądzisz, że by mi się to na co zdało i że nie wystawiliby mię również na nienawiść tych, których los odtrąci?

— Pozwól, pozwól, panie radco. Przyrzekam ci uroczycie tak przysposobić skrzynki, że wszyscy będą zadowoleni. Ci, którzy nie dostaną portretu, znajdą, jak książkę marokański i książkę aragoński⁵⁵, w dwóch innych skrzyneczkach coś, co im się bardzo spodoba tak, że zapomną o małżeństwie z Albertyną. Więcej nawet, uważać cię będą za człowieka, któremu są winni głęboką wdzięczność.

— Czyż to możliwe? — zawołał radca.

— Nie tylko możliwe — odparł złotnik — ale pewne; daję ci słowo.

Radca już się nie wahał i postanowił działać zgodnie z planem Leonarda, i obaj się umówili, że w następną niedzielę sprawą będzie wykonana.

Złotnik zapowiedział, że sam przyniesie trzy skrzynki.

ROZDZIAŁ VI

Albertyna była w rozpacz, kiedy jej radca powiedział o nieszczęsnej loterii, którą postanowiono urządzić; ale bezużyteczne były wszystkie jej lzy i błagania. Była też wielce rozgniewana z powodu obojętności Edmunda; nie pokazywał się wcale i nie starał się rozmawiać z nią o swej miłości. W wigilię⁵⁶ niedzieli wyrocznej Albertyna siedziała wieczorem w swym pokoju. Oddana myślom o grożącym jej niebezpieczeństwie, pytała sama siebie, czy nie lepiej byłoby uciec z domu ojcowskiego, niż być skazaną na poślubienie pedanta sekretarza lub ohydneho barona. Zaczęła tedy marzyć o tajemniczym złotniku i o jego czarodziejstwach, i oto w sercu jej przebudziła się nadzieja; gdyż pewnym jej się zdało, że Leonard nie opuści Edmunda w chwili krytycznej. Poczula naraz żywe pragnienie rozmowy ze złotnikiem i w chwilę potem złotnik ukazał się przed nią. Powiedział jej głosem łagodnym i pełnym powagi:

— Drogie dziecko, zbądź się smutku i troski; dowiedz się, że Edmund, którego jak ci się zdaje, kochasz dzisiaj, jest pod moją opieką i że będę mu pomagał ze wszystkich sił. Dowiedz się, że ja to podsunąłem twemu ojcu myśl loterii, że ja to przygotowałem cudowne skrzynki i że nikt inny, tylko Edmund wybierze tę, w której znajduje się twój portret.

Albertyna wydała okrzyk radości. Złotnik mówił dalej:

— Mógłbym być znaleźć inny sposób uzyskania twej ręki dla Edmunda, ale rozgniewałbym mocno jego dwóch rywali.

Albertyna rozplynęła się w podziękowaniach. Wzięła za rękę Leonarda, przycisnęła ją do serca i zapewniła go, że pomimo jego czarownictwa, patrzy na niego bez trwogi: po czym naiwnie go pytała, kim jest.

— Ach, drogie dziecko — rzekł złotnik z uśmiechem — byłoby mi bardzo trudno powiedzieć ci, kto jestem. Podobny jestem do wielu ludzi, którzy lepiej wiedzą, za kogo ich biorą, niż kim są rzeczywiście. Uważ, że wiele osób uznaje mnie za złotnika Leonarda, który w XVI w. żył w wielkiej estymie⁵⁷ na dworze elektora Jana Jerzego i który, ścigany zawiścią i nienawiścią, zniknął nie wiadomo jak. Zrozumiesz łatwo, ilem wycierpiał

⁵⁴*Kupiec wenecki* — komedia Williama Shakespeare'a, powstała między 1596 a 1598. [przypis edytorski]

⁵⁵książkę marokański i książkę aragoński — drugoplanowe postaci z *Kupca weneckiego*. [przypis edytorski]

⁵⁶w wigilię — w przeddzień. [przypis edytorski]

⁵⁷estyma (daw.) — poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

Smutek, Rozpacz

Podstęp

skutkiem tego przypuszczenia ze strony uczciwych mieszczan i negocjantów, którzy mnie traktują jako ducha fantastycznego i starają się moje życie uczynić możliwie najbardziej gorzkim. Chociaż zjawiam się wszędzie jak prawdziwy *Deus ex machina*⁵⁸, wielu ludzi nie może mnie znosić, ponieważ wątpią nawet o moim rzeczywistym istnieniu. Aby się ochronić od tych wszystkich niedowierzań, nie wyznałem nigdy, że jestem złotnikiem szwajcarskim Leonardem i bardzo wiele osób przystało na to, że jestem po prostu człowiekiem zręcznym i że magia naturalna daje mi wszystkie środki działania. Nabierz więc odwagi, drogie dziecko; jutro rano przystój się w swą najpiękniejszą suknię, włosy upleć starannie w warkocze i czekaj spokojnie a cierpliwie na to, co ma nastąpić.

To rzekłszy, złotnik zaraz zniknął.

W niedzielę o godzinie oznaczonej przybył stary Manasse ze swoim zachwycającym siostrzeńcem, sekretarz prywatny oraz Edmund ze złotnikiem. Złotnicy, nie wyłączając próżnego barona, byli zdumieni widokiem Albertyny, która im się nigdy nie wydała tak piękna. Przy tym bardziej niż wytworność sukni i fryzury, podnosił jej piękność promień miłości i nadziei, który lśnił w jej oczach i barwił jej jagody⁵⁹.

W napadzie szczodrobliwości radca kazał przygotować wspaniałą ucztę.

Gdy zaprosił Manassego do stołu, można było czytać w oczach Żyda tę odpowiedź Shyloka:

Tak, wąchać zapach świniny; dotykać
Zwierzęcia, w którym umieścił wasz prorok
Nazaretański — złośliwą moc czarta —
Mogę — by z wami gadać i handlować:
Lecz jeść — pić — modlić się z wami — nie mogę!

Baron mniej na to zwracał uwagi. Jadł niepomiernie i gadał bez końca.

Radca, pozwoliwszy sobie na szczodrobliwość nadzwyczajną, bez miary rozlewał w kieliszki wino Porto, Maderę i nawet Malagę, przechowywaną w piwnicy od lat stu. Po śniadaniu zapowiedział konkurentom, w jaki sposób ma być zdecydowane małżeństwo jego córki. Ten będzie miał prawo zaślubić Albertynę, który wybierze skrzynkę z jej portretem wewnątrz.

W południe salę otwarto i spostrzeżono stół pokryty pięknie haftowanym dywanem, a na nim trzy skrzynki.

Pierwsza była złota: na pokrywie był wieniec z dukatów, a w środku napis:

„Ten, co mnie wybierze, będzie miał szczęście według pragnienia swej duszy”.

Druga skrzynka była srebrna; czytano na pokrywie te słowa w literach obcych:

„Ten, który mnie wybierze będzie miał więcej, niż się spodziewa”.

Trzecia skrzynka była z cyzelowanej kości słoniowej i miała te słowa:

„Ten, który mnie wybierze, będzie miał szczęście, o jakim marzył”.

Albertyna siadła za stołem na fotelu. Radca umieścił się koło niej. Manasse i złotnik cofnęli się w głąb sali.

Ponieważ los postanowił, że Tussman miał wybierać pierwszy, jego dwaj rywale wyszli do izby sąsiedniej.

Sekretarz zbliżył się do stołu, przyglądał się po kolei wszystkim napisom. Wkrótce go nęcić zaczęły najwięcej osobliwe litery na skrzynce srebrnej.

— Ojczy niebieski — zawołał z entuzjazmem — co za piękne pismo arabskie! I jak dobrze się łączy z tym łacińskim zdaniem: „Ten, który mnie wybierze, będzie miał więcej, niż się spodziewa”. Czy spodziewałem się kiedy, że panna Albertyna zgodzi się oddać mi rękę? Czy raczej nie wyrzekłem się przeszłości? Czyż nie rzuciłem się do stawu? Dalej, oto moja pociecha, oto moje szczęście: wybieram skrzynkę srebrną.

Albertyna powstała, by podać sekretarzowi mały klucz, którym ten otworzył skrzynkę. Ale jakież było jego przerażenie, gdy zamiast obrazu Albertyny ujrzał tylko książkę, oprawną w pergamin, na którym znajdował się napis taki:

⁵⁸*Deus ex machina* (łac.) — bóg z maszyny (pojawiający się na scenie teatru, by radykalnie zmienić przebieg akcji dramatu), w przenośni: wybawiciel. [przypis edytorski]

⁵⁹*jagody* — policzki. [przypis edytorski]

Chociażbyś popełnił błąd,
Wielką radość zyskasz stąd.
Dobrze wybrał tu twój sąd:
*Ignorantiam*⁶⁰ strącasz w kąt,
W *sapientiae*⁶¹ wnikasZ prąd.

— O, wielki Boże — zawołał Tussman — książka! A nawet nie książka — to biały papier. Żegnaj mi, wszystka nadziejo. O, nieszczęsny sekretarzu! Dalej, koniec twój nadszedł! Wracajmy do sadzawki.

Tussman chciał się oddalić. Leonard go zatrzymał i rzecze:

— Jesteś nierozsądny. Żaden skarb na świecie nie może mieć dla ciebie większej ceny, niż ten, który odnalazłeś. Napis już by ci powinien wyjaśnić tę prawdę. Pozwól mi, że ci tę książkę włożę do kieszeni.

Tussman posłuchał.

— Teraz — odparł złotnik — pomyśl o książce, którą chciałbyś mieć w tej chwili.

— Boże — zawołał sekretarz — toż w momencie szalu rzuciłem w wodę książkę Tomasiusa.

— Weź książkę, którą masz w kieszeni i spojrzij na nią.

Tussman wyjął książkę z kieszeni: był to *Traktat polityczny* Tomasiusa.

— Ach, drogi Tomasiusie! — zawołał sekretarz z zachwytem — otoś wyrwany żabom, których niczego byś nie nauczył.

— Cicho! — rzekł złotnik. — Włóż z powrotem książkę do kieszeni i pomyśl o jakim bądź innym dziele, któregoś na próżno szukał w niejednej bibliotece.

— Boże! — odparł Tussman — Gdy chciałem iść na operę, by się rozerwać, pragnąłem bardzo i zawsze na próżno mieć małą książkę, która w sposób alegoryczny mówi o muzykach i kompozytorach. Myślę tu o rzeczy p. t. *Wojna muzyczna Jana Beera albo opis spotkania dwóch bohaterek, Kompozycji i Harmonii, jak rozpoczęły walkę wzajemną przeciw sobie i jak po krwawej bitwie zawarły przymierze*.

— Szukaj w kieszeni i spójrz! — powiada złotnik.

Sekretarz wydał okrzyk radości, gdy w swej tajemniczej książeczce ujrzał *Wojnę muzyczną* Jana Beera.

— A zatem — dodał Leonard — posiadając tę książkę, znaną w skrzynce, masz najbogatszą, najkompletniejszą bibliotekę i możesz ją nosić ze sobą wszędzie, gdzie chcesz; wystarczy ci bowiem mieć życzenie, a książka, którą znajdujesz w kieszeni, będzie właśnie tą, którą pragniesz czytać.

Nie zajmując się już ani Albertyną, ani radcą, sekretarz udał się w kąt salonu, usiadł w fotelu, włożył książkę do kieszeni, wyjął ją znowu i z blasku jego oczu widać było, że jest najszcześniejszym człowiekiem na ziemi.

Nadeszła kolej barona. Kołysząc się ruszał do stołu, przez szkiełka zaczął oglądać skrzynki i po cichu czytał napisy. Skrzynka złota z wieńcem dukatów olśniła jego oczy: „Ten, co wybierze mnie, będzie szczęśliwy, zgodnie z pragnieniami swej duszy”.

— Dukaty — rzekł — oto moje szczęście, Albertyna zaś również jest tym, czego dusza moja pragnie. — Mówiąc te słowa, otworzył skrzynkę; znalazł w niej pilnik angielski i kartkę z napisem:

Wypełnione tve pragnienie!
W sercu twym niech upojenie
Drga, bo wszystko inne — niczym!
Naprzód z śmiałym idź obliczem:
Wszędy zyskasz powodzenie!

— Ach — zawołał Benjamin z gniewem — i na cóż mi ten pilnik? Pilnik to nie portret Albertyny. Biorę tę skrzynkę i ofiaruję ją pannie Albertynie, jako dar ślubny.

⁶⁰*ignorantia* — (łac.) — niewiedza. [przypis edytorski]

⁶¹*sapientia* (łac.) — mądrość. [przypis edytorski]

— Idziesz za daleko, panie — rzekł złotnik — uważaj się za szczęśliwego, że masz ten pilnik; z chwilą zaś, gdy go wypróbujesz, wyznasz, że jest to dar nadzwyczaj cenny. Czy masz przy sobie dukata karbowanego?

— Mam — rzekł baron tonem żalonym — ale po cóż to wszystko?

— Obrzynaj go tym pilnikiem.

Benjamin wykonał tę robotę ze zręcznością, która dowodziła wielkiego doświadczenia, i w miarę jak obrzywał dukat, obrzeże stawało się piękniejszym i świetniejszym.

Manasse, który dotąd stał nieruchomy, rzucił się z okiem rozplamionym ku swemu siostrzanowi i zawołał z uniesieniem:

— Co widzisz? To moja maszynka! Ten pilnik jest mój, mój! To narzędzie czarnoksięskie, za które swoją duszę sprzedałem diabłu trzysta lat temu.

Chciał wyrwać pilnik z rąk swego siostrzana, ale ten go odepchnął, mówiąc:

— Idź precz, stary szaleńcze! Ja ją znalazłem, należy do mnie!

I bronił pilnika, jak lwica broni swych małych, gdy Manasse, zgrzytając zębami, pieniając się gniewem, rzucał na niego coraz okropniejsze przekleństwa. Wreszcie Benjamin, ująwszy silną ręką swego wuja, wyrzucił go za drzwi, po czym siadł przy małym stoliku obok sekretarza i zaczął gorliwie obrzynąć dukaty.

— Otośmy na koniec wyzwoleni od tego okropnego człowieka, starego Manasse — rzeki złotnik. — Powiadają, że to drugi Ahaswer⁶² i że błądzi po świecie od r. 1572. Wówczas sądzony był pod imieniem Lippolda i skazany jako winny czarnoksięstwa, ale diabeł go ocalił, wzięwszy od niego duszę. Wielu ludzi zapewnia, że widywali go w Berlinie pod rozmaitymi postaciami. Dzięki memu doświadczeniu, oto już on daleko od nas na zawsze.

Na koniec Edmund wziął skrzynkę z kości słoniowej i znalazł w niej piękny portret miniaturowy, oraz takie słowa, wierszem ułożone:

Znalazłeś szczęście swe — więc je oglądaj
W precudnych oczach swej umiłowanej.
Co było — nigdy więcej nie powróci:
Takie jest świata wieczne przeznaczenie.
Rozkosz, w marzeniach sennych przeczuwaną,
Znajdziesz w kochanki swojej pocałunkach.

Edmund, idąc jak Bassanio⁶³ za radą poety, przycisnął Albertynę do serca, a radca patrzył zadowolony tym szczęśliwym rozwiązaniem wszystkich kłopotów, wywołanych małżeństwem córki. W tym czasie Benjamin dalej obrzywał dukaty, Tussman czytał swoją książkę; i ani jeden, ani drugi nie zajmowali się tym, co się dokoła nich dzieje. Radca zawiadomił ich, że młody malarz pozyskał rękę Albertyny. Obaj słuchali tej nowiny obojętnie. Każdy był zajęty losem, jaki mu wypadł i żaden z nich nie odczuł zazdrości. Po jakimś czasie pożegnali radcę, dziękując mu z zapalem za skarb, jaki za jego sprawą otrzymali.

Kilka tygodni minęło pełnych radości i zachwytu dla Edmunda i Albertyny. Złotnik przybył naraz, by wzburzyć szczęście młodej pary, przypominając Edmundowi, że mu uroczyście zapowiedział wyjazd do Włoch.

Mimo głębokiego żalu młody malarz musiał pożegnać ukochaną; czuł się gorąco porwany ku ojczyźnie sztuki, tak że postanowił natychmiast udać się w podróż.

Od roku Edmund jest w Rzymie i powiadają, że jego korespondencja z Albertyną staje się z dnia na dzień mniej częsta i mniej czuła. Zauważono też, że pewien przystojny i wysmukły referendarz⁶⁴, elegancko ubrany, często przechadza się po parku z panną Albertyną, przetańczywszy z nią całą zimę — i że radca przygląda mu się z miną bardzo zadowoloną. Referendarz przeszedł z odznaczeniem egzaminu, które mają mu służyć jako tytuł w jego karierze. Może poślubi Albertynę, skoro uzyska należyte stanowisko w świecie urzędniczym.

⁶²Ahaswer — Żyd Wieczny Tułacz. [przypis edytorski]

⁶³Bassanio — postać z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a. [przypis edytorski]

⁶⁴referendarz — urzędnik koronny przyjmujący prośby i skargi ludności. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne-wybor-narzczonej>

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, *Powieści fantastyczne*, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Ewelina Ojdana, Marta Niedziałkowska, Małgorzata Biernacka, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: *untitled*, [mariaaantonina@Flickr](https://www.flickr.com/photos/mariaaantonina/), CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: *szczegóły na stronie Fundacji*.